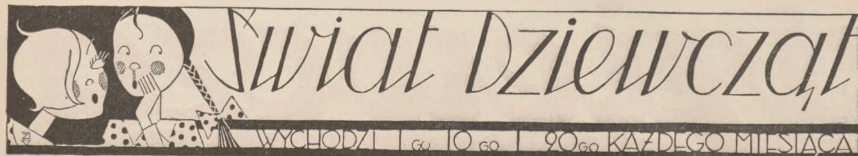
50 gr

Świat dziewcząt

N. 17



Rok I. Warszawa, dnia 10 czerwca 1933 r. Nr. 17.



POWRÓT DO RODZINY

Odejście jest powolne, podświadome, często zaznaczone zaledwie rzuconą odniechcenia uwagą matki:

— Nigdy nie masz czasu dla domu.

Uwaga taka czasem przejdzie mimo uszów, czasem odrobinkę zadraśnie serce, wywoła chwilę zastanowienia, ale zaraz potem nieodrobione lekcje, kino z przyjaciółką, ubranie, książka, którą koniecznie dziś trzeba skończyć, odrywa myśl i przechodzi się nad tą sprawą do porządku dziennego.

Ale powrót jest już prawdziwem powrotem marnotrawnego dziecka! Oto ukończone sprawy szkolne, złożone, razem z kajetami i książkami na najniższej półce pensjonarskiej etażerki. Oto strach przed trudnym piśmiennym, przed niedouczoną lekcją odsunięte na odległość conajmniej dwóch miesięcy.

Oto... z pierwszym dniem wakacyj błoga świadomość, że siódma rano, bijąca na zegarze w stołowym pokoju nie jest utrapionem hasłem wstawania, że śniadanie można zjeść spokojnie, pogwarzając przy niem beztrosko z matką, że popołudnie jest dla nas, że wieczór jest dla nas, że... cały czas okazał się świeżo odnalezionym, zdobytym, oddanym do naszego rozporządzenia.

Z początku nie jest go wcale za dużo. Przeciwnie: nigdy nie mamy dość spania, nigdy dość spokojnego, leniwego myślenia o niczem, nigdy świadomości, że mogę ułożyć sobie taki plan dnia, jaki mi się tylko podoba.

Potem jednak czas zaczyna się przelewać po brzegi naszego dnia; nie można ciągle wisieć w próżni odpoczynku. Nasza energja domaga się, jeżeli nie jakiegoś rozsądnego czynu, to przynajmniej możliwości przyczepienia naszej uwagi, naszej staranności, zainteresowania do czegoś, co się przewija przed naszemi oczami. Tem czemś, to jest właśnie „dom" w najszerszem tego słowa znaczeniu, czyli nietylko ściany pokoju, nietylko sprawy gospodarowania, nietylko kwestja wyhaftowania serwetki, czy poduszki, ale ci najbliżsi, którzy w ciągu roku szkolnego przechodzili koło nas niezauważeni, których sprawy i zainteresowania szły równolegle z naszemi, tak idealnie równolegle, że aż nigdy dotąd spotkać się nie mogły.

Dopiero wakacje, dopiero nasza zachłanność wrażeń, dopiero świeżo obudzona czujność otworzyła nam oczy na pionowo między brwiami ojca wyżłobioną zmarszczkę (Boże, w czasie ostatnich feryj wcale jej jeszcze nie było!), na mądrość praktyczną matki, która nagle jednem słowem potrafi rozwiązać problem nierozwikłany dla książkowych mądrości; wtedy spostrzeżemy nagle obecność młodszego rodzeństwa, wtedy...

Zresztą... poco pisać, kiedy wszystkie już odrazu dobrze wiemy, o co chodzi: to się właśnie nazywa powrót do rodziny, a w każdym razie to jest pierwszy krok do tego powrotu.

Nie wystarczy jednak spostrzec, nie wystarczy nawet poświęcić temu spostrzeżeniu okruchu wzruszenia ! Trzeba zrozumieć: nasi najbliżsi długi, długi czas świadomie ustąpili miejsca sprawom innym, nasi najbliżsi usuwali cicho trudności z naszej drogi, abyśmy, spokojne i bezpieczne doszły szczęśliwie do jakiegoś celu, którym narazie jest tak zwana promocja, albo nawet, o chierarchję wyżej — matura! Teraz trzeba im poświęcić chwilę uwagi, uczucia, czy zainteresowania, trzeba zacząć z niemi współżyć.

Nie jest to takie zupełnie proste; rodzina, to jednostka, złożona z kilku różnych indywidualności, wymaga aby do każdego z jej członków ustosunkować się inaczej. Na innej płaszczyźnie ułożyć się musi nasza świeżo odnaleziona przyjaźń z ojcem, która z radością przecież spostrzeże w dorastającej córce chętną słuchaczkę jego zapatrywań społecznych, jego spraw zawodowych, który chętnie weźmie gorący udział w jej „dziewczyńskich" planach na przyszłość, o ile nie będą one dotyczyły zdawna obmyślonej, a narazie niewykonalnej sukni, albo marzeń o najbliższej zabawie. Wtedy, z zatroskaną poczciwością w oczach będzie się starał wczuć w sytuację, ale nie zmuszajmy go do tego; ucieknie wkońcu pod pierwszym lepszym pretekstem.

Jedna jest tylko dziedzina „niepoważna", którą wielu ojców można zainteresować: to jest sport. Tenis, łódka, czasem pływanie — oto rozrywki, przy których towarzystwo ojca może być nieocenione i czarujące. Przy sporcie najłatwiej, bez żadnego wysiłku powstanie miła „kamaraderja" między ojcem a córką, kamaraderja, która obecnie jest najlepszym ułożeniem stosunków między rodzicami i dorastającemi dziećmi.

Cudowne zżycie, oparte na szacunku i na zaufanie!

Słowo „zaufanie" jest oczywiście podstawą naszego wakacyjnego powrotu do rodziny, ale nabiera ono specjalnego zabarwienia w stosunku do matki. Z ojcem mówi się o swoich sprawach, ale tylko o niektórych, wybranych. Z matką można gawędzić o wszystkiem: o swoim obmyślonym zawodzie, o doskonale udanych ciasteczkach, o świeżo doznanych od „przyjaciółki" przykrościach, o nieudanym kapeluszu, o powodzeniu na zabawie i o niepowodzeniu w sporcie.

Matka czasem powie: — a widzisz, mówiłam; — czasem wytłumaczy, że to nic ważnego, a czasem z uśmiechem rzuci: — kiedy ja byłam w twoim wieku... Nie, napewno nie zakończy słowami: „dziewczęta nie były takie złe i puste". Matki, które mają dorastające córki, nie pogardzają współczesną młodzieżą. Matka powie: — kiedy ja byłam w twoim wieku miałam takie same przeżycie, i...

Jak przyjemnie, jak bardzo przyjemnie słyszeć takie słowa, a ważność ich odczujemy w dwójnasób, ze swojego i z matczynego punktu widzenia, gdy matka kiedyś do kogoś powie: — córka jest moją najlepszą przyjaciółką. Jakże wdzięcznie będziemy wspominać ten okres wakacyjny, w czasie którego zadzierzgnęłyśmy tę cenną, niezastąpioną w naszem życiu przyjaźń.

Oprócz przyjaźni matki i ojca, istnieje jeszcze koło nas gromada serc i serduszek, które należałoby zdobyć wstępnym bojem, lub do których, właśnie w okresie wakacyjnym trzeba powrócić. Mały brat, utrapiony bąk, przed którym przez cały rok szkolny trzeba było wszystko chować i wszystko mu z rąk wyrywać, okazał się świetnym kompanem na dalekich przechadzkach i wyprawach poza, objęte pozwoleniem czy przyzwyczajeniem terytorja.

Siostra, obca przez cały rok osobistość, mająca tysiąc własnych, niezbadanych spraw, okazała się w czasie wakacyj najbliższą bratnią duszą, której można zaufać najbardziej drażliwe sprawy i opowiedzieć najbardziej ważne przeżycia. Trzeba było tylko jednego wieczoru, przeżytego wspólnie w kręgu lampy, jednej chwili szerokiego otwarcia oczów, aby *powrót do rodziny* stał się nietylko faktem dokonanym, ale bardzo ważnym, uroczystym faktem, którego cud sprawiły — wakacje.

Zamiślanka.

NA OSADZIE

Ż. KUNICKA

NOWELA (Dalszy ciąg)

— Musi przyjechać, bo nie ma co jeść — powiedział kiedyś ojciec. Matka spojrzała na swoje zapracowane ręce: — owszem, my mamy co jeść, ale w pokoju dziewczynek tak ciasno. — Zato się im w głowie rozszerzy — pocieszał ojciec. — To światowa osoba, urodziła się we Francji, była nauczycielką po możnych domach. Sama widzisz, jak zaniedbaliśmy naukę dzieci, nie mamy na to ani czasu, ani umiejętności. Ona to zrobi lepiej od nas i wszystko będzie dobrze.

Lona i Wieś zatrwożyli się, że nieznajoma ciotka weźmie się do ich edukacji, ale Magdzie skoczyło z radości serce: nareszcie!

Ustawiła parawanik, oklejony niebieskim papierem, okryła bibułką sosnowy stołek, który zastępował szafkę nocną, przyniosła dzbanuszek z gałązką choiny. Lśniąca zieleń przyjemnie odbijała od białej bibułki, łóżko natomiast pod wojskowym szarym kocem wyglądało surowo. Magda ściągnęła z własnego posłania białą kapę i, chociaż była za krótka — kącik gościa wydał się jej wówczas bardzo elegancki.



Ciotka chodziła po małem mieszkanku wysoka, cienka, szeleszcząc jedwabną halką, wyglądała to przez okno jadalni, to przez okno kuchni.

— Boże, jak smutno, co za kraj — mówiła śmiesznym cudzoziemskim akcentem i załamywała, aż coś chrupało w stawach — szczupłe, żółte palce, na których widniały ślady po pierścionkach: pierścionka ani jednego.

Naturalnie, że teraz nie było wesoło, kiedy pusta, zaśnieżona równina spływała, aż po granice ziemi i nieba, a nieżywe trawy sterczały tu i owdzie, niby rude wąsy wielkich raków. Co innego latem.

— Tam śpiewają żółwie — szepnęła Magda, stojąc cicho za ciotką i naraz rozdarła się w jej głowie zasłona, ukazując wiosenną noc, kiedy gwizd żółwia, jak dźwięczny świder, wierci kręty, nieskończony szlak pod górę, pośród mroku nasyconego błękitem i srebrem.

Ciocia była właściwie babcią, jednakże z rodzicami mówiła po imieniu i pilnie przestrzegała, aby jej nikt babcią nie nazywał.

Miała włosy jeszcze zupełnie czarne, z przodu podwinięte w duży czub, na wierzchu związane jedwabną kokardą, co ją czyniło jeszcze wyższą: ledwo przechodziła przez drzwi.

Śniada jej cera opierała się, ile mogła, zmarszczkom starości, ciemne oczy zachowały blask i żywość. Nosiła na codzień wytartą, pocerowaną suknię z wysokim aż po brodę kołnierzykiem, obszytym białą kryzeczką, od święta zaś — wspaniałą, przybraną aksamitem i kareczkiem z czarnej koronki. Ten strój miał już bardzo wiele lat, ale na osadzie wydawał się szczytem mody i przepychu.

Niemniejszą cześć budziły dwa kuferki, oblepione kartkami: Nicea, Arcachon, Paris, — Grand Hotel: kruche, lecz bezcenne świadectwa podróży cioci oraz jej dawnego, zaprzepaszczonego życia.

Z kuferka ciotka wnet wydobyła trochę książek i rozpoczęła się nauka. Niestety: książek z przed półwiecza, gdy dzieci uczono przedewszystkiem po francusku: „Petite Histoire Sainte". „Manuel de geographie", „Les malheurs de Sophie".

Dzieci rzuciły się do rycin; mapki nieznanych lądów i sztywne figury proroków niewiele miały im do powiedzenia. Panie z powieści Madame de Segur w krynolinach i kapelusikach, zawiązanych na wstążki, dziewczynki w szerokich, jak parasole, sukienkach, z pod których filuternie opadają koronkowe majteczki — zniechęciły je także: nawet nieszczęścia Zosi obrzydły nad podziw prędko, chociaż to było bardzo zabawne, że sobie ogoliła brwi, a drugi raz wsadziła przez łakomstwo głowę do garnka ze śmietaną i już jej stamtąd wyjąć nie mogła!

Głucho i niezdarnie s t ę k a l i t r u d n e dźwięki, któremi, Bóg wie dlaczego, kazano im zastępować dobrze znane nazwy ludzi i przedmiotów. Patrzyli z rozpaczą w biały, martwy dzień, nawet uciec niepodobna, bo zima i śnieg. Pozostawały tylko wybiegi: — Ciociu, zdaje mi się, że coś kipi na płycie — szeptał tajemniczo Wieś i biegł do kuhni, brzakał pokrywami, byleby tylko zyskać na czasie.

— Nie uczyłam nigdy małych dzieci — tłumaczyła się ciotka. — Moje uczenice to były dorastające panienki, z któremi konwersowałam po francusku, po angielsku. W twoim wieku, Madeleine, albo i starsze.

W jej wieku panienki były gdzieś po świecie, ale ich Magdusia nie znała. Zawsze sama z rodzicami i młodszem rodzeństwem — zawsze w cichości serca marzyła, że pozna młodą dzieczynę, że zawsze przyjaźń pełną zwierzeń i wspólności, razem zagłębią się w życie.

Jakie były te dziewczęta, które znała ciotka Celesta? Co robiły? Co myślały?

Ciotka opowiadała chętnie. Czasami na lekcji, pomiędzy jedną regułą gramatyki, a drugą, czasami w kącie za niebieskim parawanem.

Magda pytała żarliwie: — Więc Tereska, Ciociu, miała długie, blond warkocze? Ach, jak to musiało być ładnie: włosy do kolan! A dlaczego tak się kłócili z bratem, z tym Aleksandrem?

— Bo oboje chcieli być dorośli i wymyślali sobie od smarkaczy, chociaż Tereska była tylko o rok młodsza od Olka.

— A Lili, która tak ślicznie śpiewała, że jej nieznajomy pan przysłał kosz białych róż — czy teraz może śpiewa w jakim teatrze?

— Nie, poszła do klasztoru nazywa się siostra Beatrycze. Wyrzekła się świata taka piękna, utalentowana panna!

— Ciociu, ciociu, proszę mi jeszcze opowiedzieć, o tej zabawie, którą urządzili rodzice Elżuni, gdy skończyła szesnaście lat. O tych fajerwerkach, o tych lampach w ogrodzie. I jak to było, kiedy Gina i Mewa uciekły z domu samochodem, a policjanci włoscy gonili je na rowerach?

— Ach, dziecko, tyle pytań, a teraz przecież jest lekcja. Ale poczekaj, opowiem ci w paru słowach.

Więc, widzisz, było tak...

Zanim nadeszła wiosna — Magda poruszała się w świecie ciotki Celesty z wielką znajomością osób, rzeczy i stosunków. Pamiętała nietylko pewne imiona oraz wydarzenia, lecz i mnóstwo szczegółów, napozór nieważnych. *(d. c. n.)*



GASTON CH. RICHARD

CZAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANJA HEYMANOWA

(Dalszy ciąg)

Westchnęła boleśnie i podniosła oczy. Przeszedł ją zimny dreszcz, albowiem Piotr, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, wpatrywał się w nią dziwnym wzrokiem. Jego podkrążone oczy płonęły ogniem, wychudła twarz i gorzki wyraz ust składały się na tragiczną maskę, w której malował się ból i jednocześnie nienawiść.

* * *

— Czy to coś poważnego, doktorze?

Klemens Durand Gardel ze szczerym niepokojem oczekiwał odpowiedzi chirurga.

— Poważnego? Nie. Arterję się naprawia, ranę się zaszywa; za dwa tygodnie będzie mógł się podnieść, a za miesiąc — chodzić. Ale stracił taką masę krwi, że, mimo wszystko, jestem trochę niespokojny.

Doktór Sabattier, którego w kołach sportowych nazywano „naprawiaczem połamanych kości" — kiwał swą siwą głową i nerwowym ruchem skubał bródkę.

— Oczywiście, zastrzykniemy mu serum — mówił dalej. — Ale obawiam się, że to nie starczy. Trzeba będzie uciec się do transfuzji, o ile taki upadek sił potrwa dłużej.

— Jeżeli to jest potrzebne, jestem gotowa udzielić własnej krwi w każdej ilości — rzekła Janka.

Piotr podniósł rękę.

— Niech pani zostawi tę troskę mnie — rzekł. — To moja rzecz, a nie pani...

— A więc mamy tylko kłopot z wyborem — powiedział doktór Sabattier. — Tym, kto wybierze między panią, panno du Colombel, a panem, kochany Piotrze, będzie — mikroskop.

— Mikroskop? — spytała Janka.

— Tak, moje dziecko. Mikroskop, próbka krwi, a także różne reakcje. Zbadamy typ krwi naszego rannego i, oczywiście, weźmiemy taką, która jest do tego typu najbardziej zbliżona... Albowiem transfuzja daje lepsze wyniki wtedy, gdy krew osobnika, który jej udziela, zbliżona jest do krwi pacjenta, pod względem ilości czerwonych ciałek i t. d.... W każdym razie, Fernandowi nie grozi niebezpieczeństwo utraty życia i ja odpowiadam za niego... do jutra.

W kilka dni później, Janka sama udała się do kliniki, gdzie poproszono ją do gabinetu doktora Sabattier'a.

— Czy pani ciągle jeszcze jest gotowa ofiarować swoją krew? — spytał.

— Tak, doktorze... O Boże... czyżby stan się pogorszył?

— Mam z nim kłopot... wpada w długotrwałe omdlenia, niczem słaba kobiecina. A przecież to energiczny chłopak. Więc? Chce mi pani pomóc wydostać go z tego? Tak? Niech pani pozwoli!... Natychmiast to zrobimy. Czy nie obawia się pani porządnego ukłócia, tu, w rękę?...

— Nie, doktorze.

— Więc, chodźmy... To pięknie z pani strony, czy wie pani o tem, moje dziecko!

Janka, w milczeniu, udała się za doktorem do pokoju, w którym leżał Fernand.

Był bardzo blady, nieruchomy; oczy miał zamknięte, drzemał. Z wysiłkiem uniósł powieki i, na widok dziewczęcia, w jego czarnych źrenicach odmalowała się radość...

— Przynoszę panu życie, młodość i wyzdrowienie — przemówił wesoło lekarz. — To kochane dziecko użycza swej szlachetnej krwi pańskim zubożałym żyłom... Przygotujemy wszystko do transfuzji... Tymczasem, pozwalam wam porozmawiać...

— Nie! nie! nie chcę!... odmawiam — zawołał Fernand, podnosząc się, w dziwnem podnieceniu.

— Niech się pan tak nie denerwuje — uspokajał lekarz. — Pan odmawia? Dlaczego?

— Taka ofiara... Nie mogę przyjąć, doktorze.

— Taka ofiara! — rzekła Janka. — Pięćset lub sześćset gramów, ukłucie i trochę zmęczenia?... Ależ, Fernandzie, mówi pan głupstwa.

Ujęła jego rękę i gładziła ją.

Lekarz wyszedł z pokoju.

— Zawdzięczam pani już tak wiele — szeptał Fernand. — Janko, moja ukochana... Od tego błogosławionego wieczoru, kiedy mi pani powiedziała „może!" stałem się zupełnie innym człowiekiem. Zbawienny wpływ pani zwrócił mą duszę ku lepszym, wznioślejszym myślom...

— Co to dopiero będzie, gdy połączą nas węzły krwi — rzekła Janka, śmiejąc się. — O Boże! Jak tu gorąco!

Zdjęła płaszcz, kapelusz i rękawiczki... Suknia z crepe marocain, koloru „bleu", choć zupełnie skromna, uwydatniała jej piękną postać.

Fernand przyglądał się dziewczynie z zachwytem.

— Jaka pani piękna, Janko! I jak ja panią kocham!

Pogroziła mu palcem.

— Cicho! — rzekła. — Proszę się nie wzruszać, Fernandzie.

— Co? Nie mogę powiedzieć, że panią kocham?

— Nie bronię panu tak myśleć, ale...

— Ale mam przecież prawo myśleć głośno — rzekł z miną poważną i komiczną, zarazem.

Zaczęli się śmiać oboje, jak dzieci.

— Brawo! — rzekł doktór Sabattier, wchodząc w tej właśnie chwili do pokoju.

— Lubię, gdy moi chorzy i ich goście są weseli... Chodźmy, proszę pani.

Weszła pielęgniarka, a za nią dwóch posługaczy, popychających nosze na wysokich kołach.

— Janko! — błagał Fernand. — Mam się o wiele lepiej i ten... ten dar jest niepotrzebny.

Janina, uśmiechnęła się od progu przeciągle i nic odopwiedziawszy, zniknęła w cieniu korytarza.

* * *

Kiedy Janka tego wieczora wróciła pod dach Durand-Gardelów, z mocno podkrążonemi oczami, i zdradzając niezwykłe zmęczenie, pani Helena spytała zaniepokojona:

— Co ci jest, moja córko?

Prawdziwa, szczera przyjaźń łączyła te dwie kobiety; jednakowo szlachetne, pełne prostoty i energji, były stworzone, ażeby się wzajemnie rozumieć.

— Nic mi nie jest, jestem tylko trochę zmęczona i jeżeli pani nic nie ma nic przeciwko temu, zaraz się położę.

— Naturalnie, idź, idź, moje dziecko. Zaraz tam do ciebie przyjdę.

Janka uśmiechnęła się blado... W kwadrans później, gdy już leżała w łóżku, weszła do niej pani Helena z córką.

Za niemi Marta, pokojówka, niosła tacę.

— Przynosimy pani trochę rosołu, czy pani go zechce spróbować?...

— Z przyjemnością! — rzekła Janka.

Wzięła filiżankę i poniosła ją wolno do ust... Marta wyszła, zabrawszy tacę. Janka, chcąc odgarnąć swe bujne loki, podniosła w górę ręce; wtedy odchylił się szeroki rękaw jej „liseuse"y, odkrywając bandaż ze sterylizowanej gazy, którym przewiązano jej rankę.

— Ale pani jest ranna? — zawołała Magdalena.

— Nie, to głupstwo! — szepnęła Janka, oblewając się rumieńcem, i czemprędzej zakryła rękawem obnażoną rękę.

— Cóż to?... co się stało?... Kto to pani zrobił? — pytała pani Helena.

A wobec tego, że Janka milczała, dodała przerażona.

— Wypadek? Może zamach?... Ten obrzydliwy Dick może...

— Nie! Nie! Co też pani wpada na myśl! broniła się Janka. — Dick nie ma z tem nic wspólnego...

Umilkła i opuściła głowę.

— Posłuchaj, moje dziecko — odezwała się pani Helena z żalem — czy nie masz do nas zaufania, że nie chcesz nam powiedzieć, co ci się przytrafiło? Pomyśl, że jesteśmy za ciebie odpowiedzialni przed panią de la Chantaignery... Wyszłaś zdrowa i wesoła, ażeby odwiedzić Fernanda w klinice, a wracasz z raną, blada, wyczerpana... Co zaszło między twem wyjściem a powrotem?

— Zdaje mi się, że nietrudno odgadnąć — rzekła Magdalena z uśmiechem podobnym raczej do grymasu. — Piotr mówił mi, że doktór Sabattier przewidywał konieczność dokonania dokonania transfuzji krwi dla podtrzymania Fernanda... Zwykle bierze się krew z lewego ramienia, a... Janka ma bandaż na lewem ramieniu.

— Czy tak? — spytała pani Helena.

— Tak — szepnęła Janka, opuściwszy powieki, na widok ciemnego błysku w źrenicach Magdaleny.

— I nie chciałaś się przyznać? Kochana dziewczyna! Taka dzielna i taka dobra!

Pani Helena pochyliła się. Wargi jej dotknęły czoła Janki, która uśmiechnęła się, poddając się tej macierzyńskiej pieszczocie. Zasypiała, zmożona wzruszeniem, wysiłkiem i utratą krwi...

Teraz zkolei pochyliła się nad nią Magdalena.

— Dziękuję — rzekła cichutko — dziękuję, skoro go pani uratowała...

Janka słyszała te słowa, jakgdyby przez sen. Otworzyła oczy i ujrzała twarz siostry Piotra, zalaną łzami...

Chciała coś powiedzieć, ale zmęczenie wzięło górę i pogrążyła się w nieświadomości, unosząc w duszy, w świat swych snów, obraz dziewczęcia, które unieszczęśliwiła.

IX. WYZNANIE PIOTRA.

Pomimo dyskrecji Janki i doktora Sabattier, do świata sportowego doszły słuchy o tem, co zaszło w klinice. W ciągu 48 godzin cały Paryż roztrząsał ten fakt. W pismach opatrywano go komentarzami, czasem pełnemi sympatji, innym razem znów — głupoty i złośliwości. Janka kilkakrotnie musiała błagać Piotra, ażeby zaniechał wymierzenia doraźnej kary, w postaci policzka, różnym mało delikatnym rycerzom pióra.

Piotr dowiedział się od matki, co uczyniła Janka, ażeby uratować Fernanda. Jego prawy charakter nie dopuszczał nienawiści i zazdrości, a jednak serce ściskało mu się na myśl o uczuciu łączącem Jankę i jego rywala.

Pewnego wieczoru, z powodu jakiejś drobnostki, opuścił dom rodzicielski, z takim pośpiechem, przyczem na twarzy jego malowało się takie cierpienie, że to zaniepokoiło Klemensa Durand-Gardel.

— Co mu się mogło stać? — zwrócił się do żony, zdumiony tak samo, jak i ona tym nagłym wybuchem uczucia, o które go podejrzewała, ale którego siły nie znała jeszcze...

— Nie wiem — wyszeptała. — Chociaż domyślam się... Jest zazdrosny!

— Piotr? Zazdrosny? O kogo? Bredzisz chyba, kochanie.

— O Fernanda.

— Dlaczego?

— Fernand kocha Jankę...

— A Janka go kocha?

— Nie wiem... Prawdopodobnie... Dała swą krew, ażeby go uratować... Sądzę, że to może uchodzić za dowód miłości

Klemens popatrzał na żonę.

— I Piotr także kocha Jankę? — spytał wreszcie.

— Tak... napewno.

— Do licha... — zaklął inżynier.

I dodał w zamyśleniu, jakgdyby dla siebie.

— To fatalne...

(D. c. n.)



Rys. 5.

KONKURS LITERACKI „SWIATA DZIEWCZĄT"

Podajemy w tym numerze rys. Nr. 5 i rys. Nr. 6 konkursu literackiego „Świata Dziewcząt". Należy odgadywać scenę, utwór i autora dzieła według schematu podanego w N-rze 13-tym „Świata Dziewczat".

Przypominamy, że rozwiązania należy nadsyłać wszystkie razem, po ukazaniu się rys. 7-mego i 8-mego.

Do koperty z rozwiązaniami dołączyć należy zamkniętą kopertkę, zawierającą adres i nazwisko autorki rozwiązania. Na tejże kopertce musi być wypisane godło.

KUPON Nr. 3
I-go KONKURSU LITERACKIEGO
ŚWIATA DZIEWCZĄT



Rys. 6.

MOST KTÓREGO NIE BYŁO

Przez wysokie okno olbrzymiego hallu w Liffle Court wpadało ciepłe słońce prosto na prześliczny japoński parawan. Miss M. Division Comisioner[1]) hrabstwa Oxforel podniosła z nad biurka głowę, na którą w tej chwili padł cień stojącej za oknem postaci.

— Good morning, Vera — powitała swą ongiś przyboczną, obecnie sekretarkę, która jednocześnie prowadziła jej dawną drużynę starszych skautek („Rangers") — cóż mi przynosisz nowego?

— Good morning, Captain, — odpowiedziała Vera sadowiąc się wygodnie na niskim parapecie okiennym — przyniosłam projekt dzisiejszych ćwiczeń dla naszych Rangers. Ma to być egzamin ich sprawności i gotowości skautowej, a jednocześnie coś „very exciting".

— Słucham cię więc — rzekła miss M., odkładając pióro.

— Otóż tak. Wszystkie cztery zastępy otrzymają mapy z wyznaczoną drogą. Punktem wyjścia będzie siedziba drużyny w Witury.

Dorothy ze swemi dziewczętami łąkami pod lasem i przechodząc koło „Roman Villa"[2]), zobaczą mrs. Martin robiącą wielkie porządki; ona ona się im poskarżyć, że obie córki musiały iść na zbiórkę i niema kto jej pomóc. Jeżeli zastęp Dorothy zrezygnuje z wycieczki i zostanie jej pomagać, to mrs. Martin zanotuje sposób ich zachowania się przy tem: np. czy wycierają buty, wchodząc do pokoju, czy porządnie myją i sprzątają, czy podlały (umyślnie wysuszone) wazony, czy która ofiaruje się odnieść na pocztę list gotowy do wysłania... itp.

Drugi zastęp weźmie Elsie i poprowadzi je okrężną, nieznaną im jeszcze drogą tu, do parku w Liffle Court. W bramie powie im ogrodnik, że widział w parku jakieś podejrzane indywiduum, czyby nie zechciały je wytropić. Będzie nim Doris, odpowiednio przebrana i przemykająca się po krzakach, zostawiająca odpowiednie ślady i znaki. Gdy ją zresztą złapią, odda im mój piśmienny rozkaz przygotowania wieczerzy i ogniska dla całej drużyny wespół z zastępem Nellie.

Ale Nellie ze swojemi będzie miała przedtem inne zadanie do wykonania. Pójdą do Liffe Court drogą, a raczej ścieżkami poza Witney, tam gdzie się te ścieżki krzyżują z drogą do Oxfordu. Na tem skrzyżowaniu, koło mostu, spotkają błąkającego się cudzoziemca, który je zapyta o drogę do Oxfordu. Chodzi o to co mu powiedzą: czy poprostu machną ręką w tym kierunku, czy też podadzą opis i długość drogi, czy może zaprowadzą go do stacyj autobusowych i t. p.

Eileen ze swoim zastępem zostanie w Witney, aby odszukać „skarb". Tym skarbem będzie ich nowa drużynowa czyli ja sama, odpowiednio przebrana i umalowana, z zębami z kartofli wsuniętemi na moje własne, podróżujące uliczkami Witney w fotelu na kółkach, popychanym przez „nurse" mojej ciotki. W międzyczasie napotykają różne inne osoby, którym należałoby pomóc. Np. mrs. Webb obładowaną paczkami, moją służącą, która rozsypie zawartość walizki i t. p.

— Bardzo dobrze obmyśliłaś to wszystko, Vero. Czy to będzie dzisiaj popołudnie? Czy porozumiałaś się już z osobami „pomocniczemi"?

— Tak, Captain, ale...

— Czy są jeszcze jakieś trudności?

— Tak, Captain. Kto będzie cudzoziemcem, pytającym o drogę do Oxfordu? Dziewczęta znają wszystkich okolicznych mieszkańców. Możnaby kogoś przebrać, ale akcent...

— Poczekaj! Cudzoziemcem... Tak; cudzoziemcem będzie Zosia. Wasze „Rangers" jeszcze jej nie widziały.

— Świetnie! Czy tylko zechce? Ona przecież cały swój czas poświęca muzyce. I czy da sobie radę? Tak słabo jeszcze mówi po angielsku!

— To właśnie dobrze! A co do muzyki — przecież przyjechała tutaj na wypoczynek. Muzyce poświęca się w Polsce, aż zadużo. Zawołaj ją do mnie.

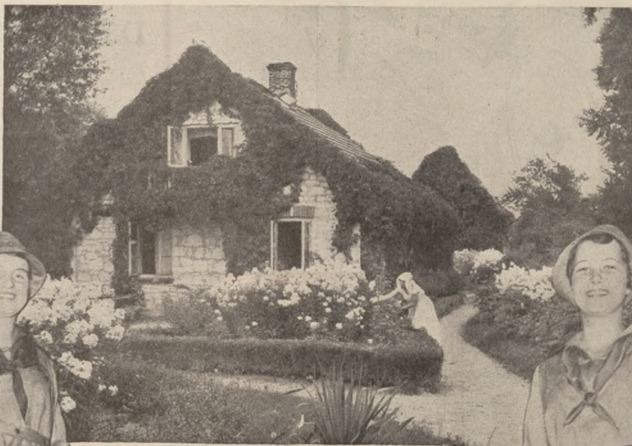
Za chwilę do pokoju weszła wyrośnięta, blada, siedmnastoletnia pensjonarka o dziwnie obfitej i niesfornej czuprynie.

— Druchna mnie wołała?

— Tak, Zosiu! Siadaj, moje dziecko. Czy zechcesz nam pomóc w urządzeniu ćwiczeń polowych dla mojej dawnej drużyny, którą obecnie obejmuje Vera?

— Bardzo chętnie, druchno! Tylko taka ze mnie zawsze fujara! Napewno się poszkapię! I przytem tak słabo jeszcze mówię po angielsku!

— Właśnie o to chodzi, moje dziecko, ponieważ jako cudzoziemka masz napotykane „Rangers" zapytać o drogę do Oxfordu. Teraz







jest 10-ta. Wyjdziesz stąd po lunchu, i minąwszy Witney, natrafisz na mały mostek na rzeczce. Tam się błąkaj z miną bezradną. Vera zresztą poinformuje cię szczegółowo. — A teraz idźcie już, bo mam jeszcze parę listów do napisania. Wesołej zabawy!

— Thank you, Captain!

— Dziękuję, Druhno!

— Good bye children!

———————

Zaraz po lunchu, Zosia odważnie wyruszyła wskazaną drogą. Śliczna równa i czyściutka szosa angielska z trawnikami po bokach, biegła prosto nie budząc żadnych wątpliwości co do kierunku. To też myśli dziewczyny odfrunęły daleko od pierwszego jej zadania.

— Czy to nie dziwne, tak nieoczekiwanie z wiru wściekłej roboty znaleźć się w samym środku wakacyj i to w Anglji! Jeszcze 10 dni temu byłam w szkole! Właściwie tu wszystko wygląda jak bajka albo jak widoczek z pudełka od cukierków! Te śmieszne domki z czerwonej cegły, opięte dzikiem winem, caprifolium i clematis, albo te cudne trawniki pełne baffodils[3]), hiacyntów, tulipanów! Kto kiedy widział takie liliputcie kwadratowe poletka, pocięte żywopłotami! No i te wzruszające w nich furtki „kick me"! Anglja jest bardzo ładna, zwłaszcza w słońcu, ale nie umiałabym tu żyć długo !Ciekawam jak teraz wygląda Warszawa! Czy kwitną już kasztany w Aleiach? Strasznie by się miło szło teraz pod temi kasztanami na lekcje muzyki do poczciwego Ż. (oczywiście, przechodząc starym obyczajem niewłaściwą stroną przez placyk koło Belwederu, ku wieczystemu utrapieniu posterunkowego!). To straszne, być taką gapą! Ale podobno wszyscy wielcy ludzie byli roztargnieni, a ja muszę zostać wielką artystką. Właściwie dusza ludzka jest strasznie skomplikowanym aparatem! Tyle w nas jest rzeczy nieuświadomionych, tyle nieoczekiwanych możliwości. — Chyba celem życia człowieka jest: sprzęgnąć te wszystkie plączące się nici i wydobyć z nich wartość.

Rozpędzone myśli, spadły na łeb na szyję w sam środek rzeczywistości. Zagapiona Zosia utknęła nosem w bramie parkowej.

— To dopiero! Miał być most a jest park! Ktoś tu się chyba pomylił. Ciekawam gdzie ja teraz jestem? Zofio, zbierz zmysły i pomyśl choć chwalę realnie! Ten dom jest dziwnie znajomy! Oczywiście to jest Liffle Court, tylko z innej strony! Widocznie jest jeszcze inna droga między Witney a Liffle Court i ja na nią weszłam zamiast iść w stronę Oxfordu! Ciekawam, która to godzina! Te biedne „Rangers" w poszukiwaniu „błąkającej się cudzoziemki"! O Boże! daj, żeby mię kto nie spotkał!

Wysławszy to ostatnie pobożne westchnienie w stronę życzliwych niebios — Zosia zawróciła galopem tą samą drogą.

———————

— Well, darling? What's the matter with you? — spytała miss Mr. wpadającej do jej pokoju Very. — Myślałam, że jako „chora osoba" podróżujesz w tej chwili w fotelu po uliczkach Witney.

— Za chorą osobę przebrałam Bitę, bo uważałam, że jako prowadząca ćwiczenia, powinnam raczej zajrzeć tu i tam na moim bicyklu, czy wszystko w porządku. Zresztą byłam niespokojna o Zosię i... oh, Captain! To okropne! Jej wcale niema przy moście! Co robić?

— Jakto niema? Czy nie poszła tam?

— Owszem. Sama ja odprowadziłam kawałek, ale gdy pojechałam tam w pół godziny później — nie widziałam Zosi. Ani przy moście, ani na drodze.

— Moja droga, na wszelki wypadek pojedź i [illegible] — powiedziała miss M. spokojnie — jeżeli naprawdę nigdzie jej nie spotkasz, to zwołaj drużynę i roześlij na poszukiwanie po wszystkich ulicach Witney — może zabłądziła w miasteczku.

Vera wybiegła, a miss M. poczęła się zastanawiać z uśmiechem — co też mogło spotkać jej roztrzepaną pupilkę.

— Oh, Captain! To straszne! Ona naprawdę zginęła! — mówiła zrozpaczona Vera w godzinę potem, gdy trzecia grupa poszukiwaczek wróciła z niczem. Wieczór zapadał i ostatnie promienie słońca złociły daffodyle na trawniku przed domem. Błękitne sikorki ćwierkały w krzakach, a samczyk zięby kołysał się na gałęzi platana. 3 zastępy „Rangers" odpoczywały na murawie w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków.

— Czy nie uważacie, że Vera jest strasznie pomysłowa — mówiła Peggy do przyjaciółek. — Jak ona nadzwyczajnie wszystko obmyśliła!

— Strasznie lubię wszelkie tropienie, polowanie na złodzieja, szukanie skarbu i t. p. To ogromnie fascynujące.

— Vera jest poprostu wielka! Nikt z nas nie mógł poznać Rity przebranej za chorą damę. Gdyby nie Eilleen, poszkapiłybyśmy się ostatecznie.

— Doris również była świetnie przebrana. Ciekawam, która jest tą przebraną „cudzoziemką". Chyba tylko Rene, a może Vera zaprosiła kogoś z innej drużyny. Ciekawam czy Dorothy ją odnajdzie, ona ma najlepsze tropicielki drużyny.

———————

— Miss Monica, proszą panią do telefonu.

— Hallo, jestem.

— Tak, rzeczywiście miałam dziś ze swoją drużyną zbiórkę z a m i a s t e m. Wróciliśmy przed godziną.

— N i e. N i k t się nas nie pytał o drogę do Oxfordu.

— N i e. N i e widziałyśmy nikogo obcego. Bardzo mi przykro, Madame[4]). Czy mogę coś pomóc, M a d a m e? M a m nadzieję, że się dziewczynka znajdzie.

— Good bye, Madame.

———————

Na stacji autobusowej zadźwięczał dzwonek telefonu.

— H a l l o!

— I am sorry, Madam. Nie widzieliśmy dziś żadnego c u d z o z i e m c a n a naszej linii.

— Blada dziewczynka z bujną czupryną?.. Zaraz zapytam konduktora.

— Nie, Madam. Bardzo mi przykro. Madam Mam nadzieję, że dziewczynka się znajdzie.

— Good bye, Madam.

———————

Tłusty urzędnik w biurze policji powstał uprzejmie na widok wchodzącej klijentki.

— Przykro mi trudzić pana. Jestem bardzo zaniepokojona zniknięciem młodej Polki chwilowo u mnie goszczącej...

Skórzany fotel trzeszczący pod poruszeniami ciężkiego cielska, wieczne pióro, podobne do grubego cygara biega szybko po kratkowanym papierze notatnika. Przez otwarte okna wpływa ciepłe, pachnące, wiosenne powietrze. Brenzowa pszczoła brzęczy nad bukietem czerwonych tulipanów w wysokim flakonie, na brzegu policyjnego biurka.

— Niech pani będzie spokojna, Madam. Zrobimy wszystko co w naszej mocy. Jestem pewien że jeszcze dziś będziemy mogli dostarczyć wiadomości o zaginionej Polce. Good bye, Madam.

———————

Towarzysząca z biura policji miss M. powitały wesołe okrzyki i śmiechy. Na tarasie, ozdobionym w przedziwne potwory wystrzyganemi cisami, rozsiadła się cała drużyna „Rangers" słuchając z zapałem opowiadania zawstydzonej i zmieszanej Zosi!

— Kto ją znalazł? — zapytała ucieszona Comisioner.

— Sama przyszłam, druhno!! Okropnie mi wstyd, że się tak haniebnie poszkapiłam. Angielki pomyślą, że wszystkie Polki są takie niedołęgi.

— Captain, Elsie i Nellie ze swemi patrolami przygotowały już wieczerzę i ognisko. Czy możemy pójść tam wszystkie, bo już późno. Zosia nam już opowiedziała swoje przygody: zaraz za Witney skręciła niepotrzebnie i doszła okrężną drogą do Liffle Court. Przerażona pognała z powrotem, ale już było ciemno jak doszła do Witney więc zwykłą drogą wróciła do parku właśnie przed chwilą. Odwaliła około 15 mil.

———————

— Strasznie już późno, moje dzieci. Trzeba się rozejść. Mieliście dość emocyj jak na jeden dzień; ognisko zrobimy sobie innym razem.

— O druhno! Tylko jedną piosenkę. Proszę niech one zaśpiewają tę piosenkę, która brzmi zupełnie jak szum morza i szept trawy i szelest gałęzi w lesie i jakby to wszystko było bardzo dalekie — prosiła Zosia.

— Captain, ona mówi o „Innistree" Hatts'a — rzekła Vera.

— No to dobrze. Tę jedną jeszcze, a potem koniec.

Ponad dogasające ognisko wyleciała piosenka wielkiego Irlandczyka, tęskniącego w zadymionym Londynie do zielonej ojczyzny,

I will arise aud go now aud go to Innistree,
Add a small cabin builted, there of clay and a hive vor the honey-bee;
and leave alone in the bee-loud glade.
And I shall have some peace there, for peace comes droping slow,
From the veils of the morning to where crickets sings,
there mid-night's all a-glimmer aud moons a purplenglow,
and penings full of the linnet's wings.
I will arise and go now, for always: night aud day
I hear take-waters lapping with low sound by the shore.
As I stand on the oad way or on the pavement gray,
I hear it in the dep heart's core.
(Wstanę i pójdę do Innistree (nazwa wyspy na jeziorze w Irlandji).
zbuduję tam sobie wierzbową lepiankę
otoczoną dziewięcioma rzędami czerwonej fasoli
z ulem dla miodnych pszczół i będę sam w tej pszczelnej kotlinie.
Tam znajdę pokój. Bo pokój spływa powoli
z porannych mgieł wśród ćwierkania świerszczy
z bladych cieni nocnych i czerwonego księżyca
z wieczorów pełnych trzepotu skrzydeł.
Wstanę i pójdę nazawsze: w dzień i w nocy,
słyszę wody jeziora uderzające o brzeg.
Czy stoję na ulicy, czy na szarym chodniku,
słyszę je w głębi serca).

[illegible]

BRATNIE DUSZE

Do działu „Bratnie Dusze".

Mam lat 14, jestem w 5-ej kl. gimnazjum. Interesuje mnie przyroda, sport, literatura, kino, teatr i muzyka; uwielbiam „Świat Dziewcząt" i... Ramona Nowarro. Przytem odznaczam się wesołością i zlekka sentymentalnością. Szukam przyjaźni, bo niestety, dotychczas takiej „prawdziwej" nie znalazłam. Zwracam się więc do miłych Czytelniczek w wieku od 12—16 lat z prośbą, aby która z nich o podobnych, jak ja, zamiłowaniach, napisała do mnie pod adresem: *Hania Linowska, Toruń, Mickiewicza 106 m. 4.*

„Zośko" Moja Droga!

Wyczytałam dziś w „Świecie Dziewcząt", że jest w Otwocku pewna dziewczynka, która moczy łzami biedną poduszkę dlatego, że jest chora. Pomyślałam więc sobie, że może Tej nierozsądnej osóbce zrobi przyjemność mały list od kogoś, który Jej nie zna, ale z całego serca radby pocieszyć i rozweselić.

Co, Zoś, chcesz ze mną korespondować? Widzisz, ja już jestem stara, no tylko się nie przeraź, tak bardzo znowu nie, mam 19 lat i właśnie zdaję maturę, nie wiem, ile Ty masz, w której jesteś klasie. Co to za choroba, która Ciebie tak martwi? O czem lubisz rozmawiać? Co Cię interesuje? Możesz się pytać mnie o co chcesz. Na wszystko Ci odpowiem. Narazie kończę, bo nauka czeka, więc ściskam Cię najserdeczniej.

Irka N.

Adres: Jarosław, klasztor S.S. Niepokalanek dla Irki N.

Jestem wesoła, posiadam temperament. Lubię bardzo wszelkie wycieczki. Kocham przyrodę i najlepiej czuję się na świeżem powietrzu. Jestem w czwartej klasie, uczę się dobrze, uprawiam wiele sportów (najchętniej pływam). Jeśli która z Czytelniczek naszego kochanego „Świata" o zbliżonych upodobaniach zechce zaprzyjaźnić się ze mną, proszę bardzo, by skrobnęła parę słów „dla Steńki".

P. S. Dla bratnich duszyczek przesyłam moc całusków (nie tych z piernika).

Wyjaśnienia:

[1]) Division Comissioner — komendantka Hufca.

[2]) Roman Villa — willa rzymska. W różnych miejscach Anglji napotykamy ślady dawnej kultury rzymskiej: drogi, ruiny domów itp.

[3]) Baffodils — zonkile — zwane u nas żółtemi narcyzami.

[4]) „Madame" — mówią skautki do wszystkich „Comissioners".

Hanna Mortkowiczówna

WARSZAWA — MIASTO RODZINNE

Do obcego miasta zbliżamy się z przewodnikiem w ręku, z dokładnym planem, z powziętemi naprzód wiadomościami o jego historji, rozbudowie i zabytkach. W obcem mieście oglądamy kościoły, muzea, wysokie wieże i pięknie rzeźbione ściany, szpitale i boiska sportowe. Z obcego miasta wysyłamy do znajomych pocztówki z fotografiami gmachów i ogrodów, któreśmy właśnie obejrzeli. W obcem mieście poznajemy szybko wszystkie hotele i restauracje, w których mieszkamy i jemy.

W Warszawie, w której mieszkamy od urodzenia rzadko bywamy w hotelach i restauracjach. Koło kościołów i pomników, koło Zamku i ministerstw przebiegamy zazwyczaj prędko, śpiesząc się do szkoły, do domu, na zebranie. Proste linje ulic i prostokąty placów rozpadają się dla nas na szereg domów, znajomych, związanych z jakimś interesem lub człowiekiem, i obcych, które się mija, nie patrząc. Zaś te domy znowu, jak plastry miodu w ulu, kryją w sobie wiele poszczególnych komórek: mieszkań i pokoi, sześcianów murów, w których gnieżdżą się ludzie.

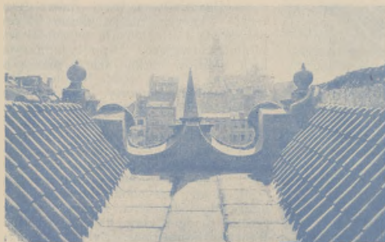
W jednej z takich komórek przyszliśmy na świat, z jednej z takich komórek wyniesiono nas po raz pierwszy na rękach, lub wywieziono w wózeczku, na ulicę, na miasto. To miasto nie spotkało nas za granicą rogatek, za halą dworca kolejowego, ale malutcy poczęliśmy nisko plątać się na jego bruku, w miarę lat coraz wyżej od jego trotuarów i jezdni. Minęło wiele lat, zanim mogliśmy podnieść wzrok ku szarym dachom domów, ku wieży Zamku, ku helmiastym dzwonnicom kościołów, ku figurom króla Zygmunta czy Mickiewicza, tkwiącym na wysokich słupach. Zanim zaczął nas interesować styl, epoka powstania, architektura domów, które ustawiły się szarym, bezbarwnym rzędem po obu stronach ulic, zanim nauczyliśmy się wielu ciekawych rzeczy o moście, budowanym na Wiśle za czasów królewny Anny, o tem, jak wyglądały niegdyś pokoje Zamku Królew













skiego, jak marszałek Bieliński zakładał ulicę Marszałkowską, jak król Stanisław August urządzał swoje piękne salony, a ogrodnik Schuch troszczył się o Park Łazienkowski chodziliśmy długo temi gwarnemi, tłocznemi korytami ulic, patrząc na szyldy, wystawy, bramy, na ruch uliczny, na to co znajduje się na wysokości wzroku.

I właściwie to wszystko co jest bliskie, zwyczajne, potrzebne, interesuje nas najbardziej w rodzinnem mieście. Więc w mieszkaniu instalacja elektryczna i gazowa, wodociągi, bardziej niż najpiękniejszy widok z okien na stare kamieniczki stłoczone w zaułkach starego miasta, lub szarawa smuga Wisły wdali, za dachami. A znów na ulicy, nie historja tego lub inego pałacu, stojącego tu już od saskich czasów, ale nowa asfaltowa powierzchnia jezdni, ślicznie urządzona wystawa nowopowstałego sklepu, lśniące niklowe litery i okucia reklam, okien, które powstały na miejsce starych obdrapanych szyldów.

Interesuje nas, cieszy, obchodzi, to wszystko, co widoczne i bliskie, zmienia się w naszym rodzinnem mieście z dnia na dzień, z roku na rok. Nowy most, który rdzawym łukiem przerzucił się przez Wisłę niebieskawą i łagodną, nowe ulice kolonij podmiejskich, bloki betonowe i szklane nowych domów, sportowe stadjony, baseny w zakrzewiających się, niedawno założonych parkach. Tunel idący pod ziemią od głównego dworca i coraz nowe linje czerwonych, skrzypiących autobusów i morze różnobarwnych, neonowych zygzaków, odbijające się w czarnym lśniącym asfalcie jezdni.

Myślimy: Tatuś mógłby też umieścić nad swoim sklepem neonową, jaskrawą reklamę. Myślimy: Naszą szkołę wartoby też otynkować na nowo. W skrzynkach za oknami trzeba nasadzić nasturcji, żeby było tak ładnie, jak w sąsiednim domu. Do Hanki na Myśliwiecką można teraz jeździć tą nową linją autobusów C. W klubie sportowym, do którego należy Janek, jest o wiele nowocześniej urządzony basen pływacki...

Myślimy i mówimy nie jak turyści, którzy przyjechali na krótko do Warszawy, żeby zwiedzić, obejrzeć i wrócić tam, skąd przyszli, ale jak stali mieszkańcy odpowiedzialni częściowo za wygląd miasta, za wygodę życia w mieście. Nie wspominamy zbyt często minionych dziejów tego miasta, tryumfalnych powrotów z wypraw na Moskwę, i obiadów czwartkowych Stanisława Augusta i krwawych manifestacyj powstańczych. Rzadko podnosimy oczy ku grobowcowi książąt mazowieckich Janusza i Stanisława, śpiących od wieków w mroku Fary, ku wieżom staromiejskich kościołów i bramom pałacyków, zdobnym w rzeźbione herby magnackie.

W dniu codziennym i nisko, na wysokości wzroku jest wciąż tak dużo roboty. Od dnia dzisiejszego i od niziutkich fundamentów, od parteru musimy rozpoczynać własną pracę w rodzinnem naszem mieście, w Warszawie. Może suma tej pracy urośnie z biegiem lat do poziomu najwyższych drapaczy nieba. Może od podstaw od skanalizowanych, czystych suteryn, od gładziutkich





asfaltowych ulic, wybudujemy gmachy wyższe, niż pomniki i kościoły przeszłości, wyższe od tego największe w Warszawie domu, który wyrósł niedawno na rogu Świętokrzyskiej i Mazowieckiej.

Może będziemy mogli już niedługo, chodzić po wielkim mieście z głową podniesioną wysoko do góry, z wzrokiem utkwionym przed siebie. W korytach ulic kipieć będzie strumień wozów i aut, posłuszny na skrętach rozkazom elektrycznych sygnałów, reklamy będą płomienieć jeszcze wyżej, jeszcze jaskrawiej na ścianach wysokich gmachów. Będziemy szli naprzód nie patrząc sobie nisko pod nogi, pewni, że nie natkniemy się na żadne dziecko bawiące się bez opieki w rynsztoku, na żadnego bezdomnego psa, wybój nierównego bruku, ani szkodliwą „dziurę w moście".

NA RZECE

Przy ulicy Wioślarskiej, odrazu jak się zejdzie po kamiennych schodach z mostu Poniatowskiego, na prawo — kluby wodne tulą się do siebie jak grzyby wyrosłe po ciepłym deszczu. Pierwszy A. Z. S. najruchliwszy, najmłodszy, donośny zdaleka wesołemi głosami członków płci obojga. Potem dwa siedliska męskie: W. T. W. Nestor klubów wodnych, najliczniejszy, najzamożniejszy, najkomfortowszy. Imponujące bogactwo taboru, rozległe murowane fasady, kuchnia — palce lizać.

Członkowie Koła Wioślarzy „Wisła" wcale się nie obrażają gdy się na nich mówi „kolarze", choć z kolarstwem nie wiele mają wspólnego. Mało gadają, dużo trenują. Zgodliwi z nich sąsiedzi. Nie masz zwad o parkan graniczny między nimi a wioślarkami.

U wioślarek jest bardzo elegancko— wiadomo kobiety. Trawniki jak aksamitne hangary oplecione siecią dzikiego wina. Przed tarasem rabaty bratków i pnące różyczki. Pod świeżutko pomalowanemi okiennemi ramami skrzynie pełne ponsowych pelargonji.

— Jesteś u siebie — głosi wielki napis na ścianie szatni. Jesteś u siebie, więc dbaj o klub, jak o dom własny. Nie śmieć, nie zabrzydzaj, nie czekaj aż za ciebie sprzątną inni. Przykładaj się w miarę możności do tego, żeby w tym naszym wspólnym domu-klubie było ładnie i miło.

* * *

— Ach, jak to dobrze, że już jest wiosna—wzdycha z ulgą śniada, smukła Bożenka, przeciągając się leniwie na deskach solarjum. — Można wiosłować, pływać, opalać się na całego. A myślałam że już nie przetrzymam tej zimy. Bo to już drugi rok — bez posady. Czasem kapnie gdzieś lekcja z łaski, za psi grosz. No, ale latem to się jakoś łatwiej żyje — mniej potrzeb, więcej dostępnych radości.

Milczenie. Wiemy wszystkie, że Bożena jest zaręczona z Jurkiem, ślicznym chłopcem z sąsiedniego klubu. Już trzeci rok I nie mogą się pobrać, bo i jego zredukowali. Tyle pociechy, co się razem nawiosłują.

Maturzystka Lena wpatruje się w Bożenę z zaciekawionym niepokojem. Więc tak wygląda życie, do którego przez wszystkie szkolne lata dąży się w ambitnym wyścigu. Okazuje się, że wszystko dotąd było doskonale proste: przez cały rok żyło się nadzieją wakacji. Pozatem o ile się robiło swoje, słuchało wykładów i odrabiało zadane lekcje — wszystko było dobrze. A potem?.. Potem życie staje się zawiłe, niewiadome, i... wciąż się jednak czeka na wakacje.

— Jak ten czas leci — wzdycha znów Bożenka — zdaje mi się, że wczoraj dopiero robiłam maturę i uważałam, że moje dwudziestopięcioletnie kuzynki, są takie stare, taaakie staaree... A teraz już sama mam dwadzieścia pięć lat i nawet nie wiem kiedy się to stało.

— Chodźmy grać w siatkówkę — przecina niepotrzebne refleksje Lena.

Poszły, pobiegły. Obie szczupłe, długonogie, czarnowłose. Trudno je rozróżnić w biegu. Migają muskularne, bronzowe uda w granatowych spodenkach. Bożenna skacze wyżej łapiąc piłkę. Ma za sobą chlubną przeszłość lekkoatletki. O, przyłączył się już do nich ten ładny Jurek. Hałasują wszyscy troje jak dzieciaki. Życie jest piękne — mimo wszystko.





* * *

Sporty wodne znakomicie sprzyjają zacieraniu różnic wieku. Któżby mógł przypuszczać, że spalona na ciemny mahoń pani Luda ma już czternastoletnią córkę. Luda, psotny klubowy chochlik, świetna pływaczka, niestrudzona wioślarka, rekordzistka opalenizny i zamiłowana ogrodniczka, polewająca z jednakim ferworem rabaty i nogi koleżanek (nikt się o to nie obraża, bo w wioślarskim kostjumie nie ma się nic do stracenia).

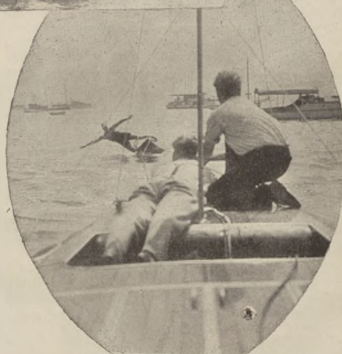
Luda bierze kij na ramię (nie do bicia, broń Boże!), na kiju jest sznur, na sznurze pas, a w pasie tkwi Ludy okazała latorośl (już jest wyższa od matki). Tkwi w pasie i w wodzie.

— Raaaz, dwaa, trzy! Raaz, dwaa, trzy! — krzyczy matka głośno, bo czepek, woda i strach mają własności wybitnie ogłuszające. A po tygodniu takich studjów córka idzie z matką na Wisłę, na otwartą wodę. Razem wyłażą na drewniane pomosty, roześmiane, w ociekających trykotach. Córka jest większa i tęższa od matki, wydaje się niemal doroślejsza.

A i pani Regina, stary wilk wiślany, robi się co rok młodsza. Całą zimę, wiosnę i jesień pracuje w szpitalu, jak dziki osioł. A gdy przychodzi lato i urlop — ładuje do łodzi syna, zapasy i dobrze zgraną osadę i ginie na cały miesiąc. Wracają odmienione. Były żółte, anemiczne, z torbami pod oczami. Przyjeżdżają czarne, rumiane, z zawadjacko błyszczącemi oczami.

* * *

Na Wiśle ruch. Trenują osady. Młode, niewprawne, stremowane. I stare, zwycięskie w mnogich regatach, zaprawiające się do kolejnych zwycięstw.



Przelatują ze spienionym hukiem motorówki, antypatyczne wioślarzom, bo „psują wodę". Wodny regulamin każe, by łodzie ustępowały drogi żaglówkom. Ustępuje się, czemu nie? Ale. żeby to można wiedzieć, w którym kierunku skręcą. Strasznie to żaglowe bractwo nieobliczalne.

— Z toruuu!... — wrzeszczy przez megafon sternik regatowej ósemki.

Ludno na Wiśle. Za ludno nawet. Najprzyjemniej wyjechać gdzieś dalej, na jakieś mało zaludnionej łachy, albo do Osiedla. Jest to wygodny lokal z koszykowemi meblami i dużemi oknami. przez które kawałki wody i nieba wydają się jeszcze ponętniejsze. niż bezkresna dal. w której tonie łódź i jej załoga. W Osiedlu można się najeść bardzo znakomicie. Może dlatego wszystko tam jest takie wyborne, że zmęczenie i powietrze—to przyprawy godne największych smakoszów. a może i dlatego. że sprawami gastronomicznemi zarządza sympatyczny wioślarz. Koliberek. Nie nazwisko to, a przezwisko. Namen tym razem nie omen. chyba naodwrót. Koliberek przebija głową niski sufit Osiedla, a w drzwiach z trudem się mieści.

Aby wioślarstwo sprzyjało zdrowiu, nie może być uprawniane zbyt forsownie. Stopień sprawności określa podczas specjalnych badań. wiceprezeska klubu, p .doktór Jurjewiczówna. Nie przekupią jej żadne prośby ani błagania. jeżeli serce choć cokolwiek nie dopisuje — karta głosi „wioślarstwo turystyczne" — bezapelacyjnie. O regatach ani marzyć. A właśnie o stawaniu do regat marzą — wszystkie.

— Nie zależy nam na tworzeniu rekordzistek — mówi prezeska klubu, p.





Zabaowska - Domosławska (także „pani doktór"). — Nie jesteśmy żadną szkołą zawodniczek. Zadaniem klubu jest udostępnienie radości ruchu na świeżem powietrzu jaknajszerszym masom kobiet, przykutym do miasta. Niech będzie jaknajwięcej zdrowych opalonych, wesołych istot.

— Bardzo słusznie. A zawodnictwo... Czy nie uważa pani że mogłyby sobie kobiety z tem dać spokój? Ta brutalna, bezwzględna chęć wygrania, zwycię̇żenia przeciwniczki — to chyba niezgodne z kobiecą psychiką. Takie cechy należy zacierać, nie rozwijać.

Uśmiechnięta, krągła i rumiana, jak malinowe jabłko twarzyczka „pani doktór" — poważnieje.

— A nie. To nie. Takie wytresowanie w sobie psychicznych muskułów i pazurów może kobietom wyjść tylko na dobre. Życie jest twarde, a my mamy być miękkie? Czemu skazywać z góry na przegraną w grze życia. Niech przynajmniej młode pokolenie zaprawia się do walki z wiarą w zwyięstwo.

Niebo i wodę zasnuwa zmierzch, niby woal z gęstej, ciemnej żorżety. Na moście zapalają się symetryczne światła latarni. Czarno-stalowa woda odbija je jak lustro.

Jadwiga Kieronarska.

KOBIETY NA MITYNGU LOTNICZYM

Jak zapewne wiecie, w meetingu lotniczym, który się odbył w Warszawie dn. 24-go i 25-go maja, brały udział również kobiety, i co najważniejsze, dwie z nich zdobyły pierwsze nagrody: czeszka i polka.

Czeska lotniczka, pani Marketa Ferraris-Konowa otrzymała nagrodę przechodnią Prezesa Rady Ministrów dla najlepszego zespołu zagranicznego dla Aeroklubu Morawsko-Śląskiego w Brnie. Pozatem otrzymała nagrodę Komitetu Fundacji samolotu dla pilotki „Challange 1934". Przeleciała 1.300 kilometrów z Brna do Warszawy, pilotując płatowiec Lettow S. 39 z p. Szenkiem, w charakterze pasażera. Wygląda prześlicznie w ciemnym kombinezonie i chełmie na złotych włosach o rudawym odcieniu. Na jej twarzy nie widać zmęczenia, a w dużych oczach błyszczy zadowolenie i duma.

— Otrzymałam dyplom pilotki w Brnie w 1930 roku — mówi. — Lot do Warszawy jest moim pierwszym większym wyczynem. Zachwycam się polskiemi maszynami! To prawdziwe cuda! Nie umywają się do naszych samolotów. I jestem doprawdy wzruszona uprzejmością pani rodaków, jaką doznałam w Częstochowie.

— Uprawiam prócz lotnictwa i inne sporty — odpowiada na moje pytanie — ale trudno uważać tennis lub pływanie za jakiś poważniejszy wyczyn! Nie można do nich porównywać lotnictwa, które góruje ponad wszystkiem na świecie!

Uśmiecha się, gdy pytam, czy obawia się latać.

— Czuję się w samolocie o wiele pewniej, niż na nartach. Zjeżdżając na nartach z góry można zwichnąć lub złamać nogę. Ale cóż może mi się stać w powietrzu?

Nasza rodaczka. p. Zofja Mikulska, otrzymała nagrodę Aeroklubu Polski za lot gwiaździsty. Przeleciała z Medjolanu do Warszawy 1.301 kilometrów, pilotując włoską maszynę, z mechanikiem, p. Primo Ferriori w charakterze pasażera.

— Gdyby nie trzy przymusowe lądowania z powodu braku benzyny, zajęłabym napewno pierwsze miejsce — mówi z żalem.

— Czy pani reprezentuje Aeroklub medjolański? — pytam.

Na opalonej twarzy pojawiają się rumieńce oburzenia.

— Nie! — odpowiada stanowczo. — Jestem polką i przyleciałam w swoiem własnem imieniu! Mieszkam stale we Włoszech i Aeroklub medjolański wypożyczył mi maszynę, za którą płacę 150 lirów dziennie. prócz benzyny i innych wydatków. Pan Ferriori zna doskonale motor samolotu. na którym przylecieliśmy i dlatego mi towarzyszy.

— Już w zeszłym roku pragnęłam przylecieć do Warszawy, ale w drodze mój samolot uległ wypadkowi — dodaje. — To też w tym roku ogromnie się denerwowałam. Obawiałam się, że może jakieś złe fatum mnie prześladuje i przeszkodzi wziąć udział w meetingu...

— Otrzymałam przed startem dwie mascotki — opowiada z uśmiechem. — Lalkę od Towarzystwa benzyny Shell i pieska od polskiego konsula. Obiecałam im, że wyląduję na warszawskiem lotnisku, trzymając w jednej ręce pieska, a w drugiej lalkę. Ale przez roztargnienie zapakowałam je do walizki i nie dotrzymałam danego słowa! Lecz poczciwe mascotki chroniły mnie przez całą drogę, no i przyleciałam!

Pani Mikulska otrzymała dyplom pilotki w 1929 roku w Aeroklubie medjolańskim. Bardzo często lata, a co niedziela odbywa dłuższe przeloty, czasami bierze udział w wyścigach samolotów. Otrzymała już trzy złote medale i włoski puhar za lot bez mechanika. Tydzień temu brała udział w zawodach w Parmie, gdzie zdobyła nagrodę wynoszącą 2.000 lirów.

— I właśnie ta nagroda umożliwiła mi lot do Warszawy na meeting — dodaje szczerze.

Pani Elżbieta Pauli przyleciała na samolocie PZL 5, pilotowanym przez p. Fischera von Mollart z Pomorza, w polskich barwach. Pani Pauli jest typem urodzonej sportsmenki. którą nigdy nie opuszcza panowanie nad sobą. Nie czuje żadnego lęku i potrafi spoglądać śmiało w oczy każdemu niebezpieczeństwu. Zaraz po wylądowaniu przegląda się w lusterku i poprawia włosy.

— Nie zapominam nigdy o tem, że jestem kobietą — uśmiecha się.

Pani Tomaszewska nie startowała, pomimo zgłoszenia, przysłanego do Aeroklubu warszawskiego, a o p. Czyżewskiej pisałam już szczegółowo.

Prawdziwą niespodzianką dla nas wszystkich było przybycie na lot gwiaździsty słynnej narciarki. p. Loteczkowej. Pani Loteczkowa towarzyszyła p. dr. Piotrowskiemu w charakterze obserwatorki na samolocie PZL 5.

— Jeszcze nie otrzymałam dyplomu pilotki — wzdycha i miłosnem spojrzeniem ogarnia maszynę. — Dopiero na jesieni zdam wszystkie egzaminy. Trenuję już drugi rok.

— Czy to pani pierwszy większy przelot? — pytam.

— Nie. Byłam już na raidzie w zachodniej Małopolsce, ale niestety, również w charakterze obserwatorki. Po powrocie do Krakowa wybieram się samolotem na Bałkany do Aten z p. dr. Piotrowskim. Ale gdy tylko otrzymam dyplom...

Oczy jej się śmieją.

— Marzę o wzięciu udziału w zagranicznych meetingach. Postanowiłam kupić sobie własną awionetkę i dokonać na niej prawdziwych wyczynów sportowych. Musimy dowieść całemu światu, że polskie pilotki nie ustępują zagranicznym! *St. O.*

PANIENKA w okularach







Najpierw mała historyjka: do pełnego gości [illegible] salonu, wchodzi panienka lat szesnastu. Buzia ładna i miła. No, dobrze — ale ten uśmiech błędny i nonszalancki? Ironicznie przymrużone oczy? Ruchy chwiejne i niepewne? Ha, to jeszcze nic! Panienka idzie wolno i sennie przez salon, niedbałym skinieniem głowy odpowiada na serdeczny uśmiech i wyciągniętą dłoń jakiejś starszej pani — i z nagłym radosnym uśmiechem całuje w policzek przechodzącego pod oknem młodzieńca.

To się nazywa piorun z jasnego nieba!

Młodzieniec, nietyle uszczęśliwiony ile przerażony niespodziewanym zaszczytem zrywa się płonąc rumieńcem i przewracając z wrażenia krzesło. W salonie popłoch — panienka spogląda zbliska na swą ofiarę i nagle z cichym jękiem rzuca się w objęcia jakiejś damy, która będąc pewna, że ma do czynienia z warjatką ucieka przerażona — Voila.

A teraz mały komentarz — kim była ta młoda osoba? Oczywiście biedne upośledzone stworzenie — nieszczęsna idjotka ciężko przez los okrutny na umyśle pokrzywdzona — która wymknęła się z pod troskliwej opieki pielęg-[illegible]

— Nie, to była normalna na ciele i umyśle, uczenica siódmej klasy — mająca piątkę z polskiego i czwórkę z algebry! A więc?

Nieszczęsna zagadkowa narkomanka?

I to nie — raz w życiu próbowała zapalić papierosa, i to go nie skończyła — więcej do czynienia z narkotykami nie miała — a więc? Poprostu — zupełnie poprostu — *miała krót-*[illegible]

— Młody człowiek był tego samego wzrostu co jej brat, student, którego nie widziała przez tydzień, bo on mieszka w domu akademickim, a ona u ciotki, chciała się z nim serdecznie przywitać, bo się przed tygodniem pokłócili— [illegible]

Młody człowiek, miał taki sam garnitur.

Kobieta, którą tak przeraziła, była zupełnie obcą i Bogu ducha winną damą, ale ale miała ten sam kolor włosów i uczesanie co jej stara kuzynka — no i macie tragedję.

Zakończenie.

Na wydział lekarski Uniwersytetu Warszawskiego uczęszcza młoda osoba . Nazywają ją „mała miss". Ma krótkie i jasne włosy i amerykańskie okulary. Koleżanki za nią przepadają a koledzy jej adorują, bo taka milutka i oryginalna w tych zabawnych okularach: I — wie zawsze doskonale z kim właściwie się wita.

Koniec.

A teraz parę słów o okularach — naturalnie — nie jest to specjalnie pożądany dodatek do naszej urody — ale — nienoszenie okularów powoduje ciągłe pogarszanie się wzroku, i całą siatkę zmarszczek, które się już usunąć nie dadzą! Pomijając już to, że zmrużone oczy nadają twarzy wyraz nonszalancki i niemądry. Pozatem, niedokładne widzenie, naraża was na przykrości towarzyskie, pomyłki i kłopoty na ulicy — czy ten pan wam się ukłonił? czy go znacie? czy ta pani to wasza nauczycielka? czy zupełnie nieznajoma? — i wreszcie utrudnia wam pracę szkolną i domową. W imię czego? przymrużonych oczu i niemądrej miny.

Naturalnie, że zabawnie będzie wyglądał w okularach, kopja Marleny i każda długoloka młoda piękność — ale jeśli uczeszecie się i ubierzecie odpowiednio — efekt jest zupełnie dodatni.

Więc przedewszystkiem same okulary — przecież nie żadne złote, czarne czy stalowe — w sklepach są obecnie całe masy ślicznych lekkich opraw z imitacji szyldkretu, które można przymierzać tak, jak kapelusze. Napewno coś sobie wreszcie wybierzecie.

A do tego naturalnie krótkie włosy — i sportowa sukienka z kolorowym krawatem albo barwny pullower.

Tak właśnie wygląda najładniejsza z wszystkich „okularniczek" miss Romola Erskine — córka ambasadora angielskiego. Miss Romola „nasza misseczka" jest studentką warszawskiej akademji Sztuk Pięknych.

Raz przyszła do pracowni bez okularów — i wiecie? Pracownia odniosła się bardzo niechętne do tej inowacji. No tak, była tak samo ładna, ale taka jakaś banalniejsza, bez charakteru, wogóle „nie to".

Rzecz oczywista, że do strojnych wieczorowych sukien okulary nie pasują zupełnie. Ale jest i na to rada. Małe „Face-a-main" na krótkiej rączce jest bardzo na miejscu do najstrojniejszej sukienki w teatrze, czy na koncercie lub wystawie. Zwłaszcza, że do dzisiejszych, półstylowych sukienek pasuje ono świetnie i raczej dodaje pewnego wdzięku stylowości.

A więc — patrzcie na świat przez okulary, i to przez „różowe okulary".

Halina Krüger.

ZA PROGIEM SZKOŁY

JADZIA.

— Mamusiu! — zawołała 15-o letnia Ninka, wpadając jak wicher do pokoju matki. — Telefonowała Jadzia i powiedziała, że przyjdzie do nas dzisiaj wieczorem!

— Jadzia? — powtórzyła ze zdziwieniem matka.

— No tak, Jadzia — niecierpliwiła się Ninka. — Pamiętasz moją koleżankę, którą nazywałyśmy Śliczniotką? Dwa lata temu pojechała z rodzicami do Warszawy i ani razu do mnie nie napisała. Tak się cieszę, że przyjechała i...

— Ale możebyś się teraz zabrała do łaciny? — przerwała matka.

Ninka wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju. Niecierpi łaciny! I wogóle uważa, że cztery klasy gimnazjum wystarczą jej w zupełności.

Nie ma naukowych aspiracyj, chciałaby jaknajprędzej stanąć na własnych nogach i ulżyć ojcu, który tak ciężko pracuje. Ale nie ma wyobrażenia do czego się zabrać...

Dzień wlókł się bez końca. Ninka co chwila spoglądała na zegarek, nie mogąc się doczekać wizyty Śliczniotki. Jadzia była od niej o klasę wyżej, co nie przeszkadzało dziewczętom przyjaźnić się. Ale dwa lata temu rodzice Jadzi przenieśli się do Warszawy i Ninka straciła z oczów swoją koleżankę. Pewnie się zmieniła! Może stała się dumna, zarozumiała i gardzi mieszkanką prowincji...

Jadzia przyszła punktualnie o oznaczonej godzinie. Urosła, wyładniała, ale obawy Ninki okazały się płonne.

— Co u ciebie słychać? — spytała Ninka, gdy dziewczęta usiadły na wygodnej kanapie w jadalnym pokoju.

— Skończyłam kursy kosmetyczne i zarabiam obecnie 200 zł. miesięcznie — odpowiedziała z dumą Jadzia.

— Opowiedz mi wszystko szczegółowo — prosiła Ninka.

— Bardzo chętnie. Jestem dyplomowaną kosmetyczką i chciałabym otworzyć kosmetyczny zakład w naszem mieście, gdyż moi rodzice wracają tutaj niedługo. Pragnęłabym pracować razem z tobą...

— To byłoby wspaniale! — zawołała z entuzjazmem Ninka. — Poproszę do nas mamusię i opowiesz nam wszystko szczegółowo.

Po chwili matka siedziała w jadalni i Jadzia, dumna, że słuchają ją z wielkiem zainteresowaniem, zaczęła swoje opowiadanie:

— Skończyłam kursy kosmetyczne dr. Biernackiej w Warszawie, Szopena 16. Naturalnie w stolicy jest dużo takich szkół, m. in. jedne z najlepszych są *kursy dr. Zamenhofa, Senatorska 36.* Nie myśl, Ninko, że na kursach nic nie robiłam i leniuchowałam się!

— Wcale tak nie myślę — oponowała Ninka.

— Miałyśmy codziennie godzinę teorji. Wykładano nam anatomję, dermatologję, fizykę, kosmetykę toaletową i leczniczą, t. j. pielęgnację włosów i skóry, pomoc w nagłych wypadkach, maquillage i charakteryzację...

— To prawie medycyna — przerwała ze zdziwieniem Ninka.



Musiałyśmy przebywać w szkole najmniej cztery godziny dziennie. Praktykowałyśmy na modelkach — czasami jedna uczennica na drugiej.



— Bo kosmetyka stanowi dział medycyny. Nie wyobrażaj sobie, że uczyłam się tylko malować wargi i pudrować koniec nosa! Usuwałyśmy zmarszczki, dzioby, łojotoki, pryszcze, brodawki i t. p. defekty skóry, nie tylko szpecące twarz, lecz czasami szkodliwe dla zdrowia. Mogłabym godzinamy opowiadać ci o mojej pracy!

— Byłaś zajęta tylko jedną godzinę dziennie?

— Ach, ty leniu! A zajęcia praktyczne? Zapomniałaś o nich? Musiałyśmy przebywać w szkole najmniej cztery godziny dziennie. Praktykowałyśmy na bezpłatnych modelkach, czasami jedna uczenica na drugiej, pod dozorem dyplomowanych kosmetyczek. Przyglądałyśmy się również zabiegom, które wykonywano płatnym klijentkom. Tańsze kosmetyki kupowałyśmy same, ale droższych dostarczała nam szkoła. Pozatem pracowałyśmy w laboratorjum.

— Laboratorjum?

— Uczyłyśmy się przyrządzać preparaty według recept lekarza. Umiem zrobić doskonały krem, mleczko... Tak Ninko, pracowałam uczciwie w Warszawie, ale to było bardzo ciekawe zajęcie!

— Zazdroszczę ci — szepnęła Ninka.

— Gdy wreszcie otrzymałam dyplom, a wierzaj, że kułam zdrowo przed egzaminami — opowiadała w dalszym ciągu Śliczniotka — postanowiłam otworzyć swój własny gabinet kosmetyczny. Ale nie czułam się jeszcze na siłach. Kurs w szkole trwa 3—4 miesięcy. Niby wszystko umiałam, zdobyłam przecież tytuł dyplomowanej kosmetyczki, ale gdy sobie uprzytomniłam zręczność z jaką pracowały nasze nauczycielki, zrozumiałam, że jeszcze dużo wody upłynie, zanim im dorównam! Chciałam się stać dobrą kosmetyczką, a nie siłą podrzędną, wegetującą całe życie na groszowej posadzie u trzeciorzędnego fryzjera!

— Miałaś słuszność — zgodziła się Ninka.

— Jedna z moich koleżanek poradziła mi wstąpić na praktykę *do Instytutu Izis, Żabia 4,* urządzonego z zastosowaniem wszystkich, najnowszych zdobyczy medycyny kosmetycznej. Jego kierowniczka i właścicielka, p. Helena Brzezińska, kształciła się nietylko w kraju, lecz i zagranicą i postawił aswój zakład na wysokiej stopie. Usłuchałam mojej koleżanki i nie żałuję. Dopiero teraz widzę, że kończąc kursy wiele nie umiałam! Po odbyciu półrocznej praktyki pani Brzezińska przyjęła mnie do swojego Instytutu z pensją 200 zł. miesięcznie. A teraz czuję się już na siłach otworzyć własny gabinet kosmetyczny i marzę, abyśmy w nim razem pracowały!

— To byłoby cudowne! — zawołała z zapałem Ninka i skierowała błagalne spojrzenie na matkę, która uśmiechnęła się.

— A ile kosztuje nauka? — spytała.

— Od 250 do 400 zł., a półroczna praktyka w Instytucie „Izis" 500 zł. Ale dzieci urzędników i wojskowych korzystają na kursach z 25% ulgi...

— A tatuś jest urzędnikiem państwowym — przerwała Ninka.

— Masz naprawdę większą ochotę skończyć kursy kosmetyczne, niż gimnazjum? — spytała matka, nie spuszczając wzroku z błyszczących oczów córki.

— Bezwzględnie. Nie mam zamiaru dalej się kształcić, a idąc za Jadzi przykładem, mogę się za rok już utrzymać. A gdy zaczniemy razem ze Śliczniotką pracować, kto wie, czy nie będę więcej zarabiała aniżeli tatuś...

— Ninka otrzyma teraz świadectwo z czterech klas konieczne do wstąpienia na kursy kosmetyczne — podtrzymała Jadzia swoją koleżankę. — Jestem przekonana, że nam się powiedzie! Na prowincji jest bardzo mało zakładów kosmetycznych i ani jednej szkoły. Mamy więc ogromne pole do działania!

— Żeby tylko tatuś nie oponował — westchnęła Ninka.

— Sądzę, że się zgodzi — odpowiedział jej wesoły głos ojca z przedpokoju.

St. Osińska.



KURJER DEKADOWY Nr. 5 10.VI. 1933 r.

WYBORY GDAŃSKIE.

W dniu 28 maja odbyły się w Gdańsku wybory do Sejmu, które, jak to było zresztą do przewidzenia, dały zdecydowaną większość partyj narodowych socjalistów. Zdobyli oni na 72 mandaty poselskie 38 posłów (poprzednio 12). Z innych stronnictw pewne straty ponieśli socjaliści i komuniści, całkowicie jednak rozgromiona została rządząca dotychczas partja narodowo-niemiecka, która szła do wyborów pod wybitnie antypolskiemi hasłami. Polacy utrzymali swój stan posiadania, zdobywając dwa mandaty. Obecny skład sejmu gdańskiego, w którym większe ugrupowania stanowią w ten sposób skrajne elementy, czy to prawicy, czy lewicy, wróży silne tarcia na przyszłość. Jeśli chodzi o stosunki z Polską, to hitlerowcy, którzy uzyskali obecnie władzę, deklarują oficjalnie pokojowe współżycie z nami, czy jednak dotrzymają tych zapewnień — pokaże najbliższa przyszłość.

PAKT CZTERECH.

Pakt czterech znowu zmartwychwstał. Tym razem już podobno na dobre, tak że podpisanie jego jest oczekiwane z dnia na dzień. Ten obrót sprawy zawdzięczać należy głównie nagłej zmianie stanowiska dotąd opornego Małej Ententy (Rumunji, Czechosłowacji i Jugosławji). Państwa te obradujące w dniu 30 i 31 maja po raz pierwszy jako ścisła unja polityczna, oświadczyły, że nie sprzeciwiają się już paktowi czterech ,gdyż posiadają gwarancje swej sojuszniczki Francji, że pakt ten niczem im nie grozi. Nie wiadomo dotąd, na czem polegają te gwarancje, jednak pewnem jest, że Mała Ententa poszła na pewien kompromis, który na niej pierwszej zemścić się musi, ponieważ w razie zawodu ona pierwsza płacić będzie koszta łatwej kapitulacji. Polska i nadal przeciwna jest paktowi, gdyż uważa, że jedynym wyjściem jest bronić do końca stanowiska, które uważa się za słuszne.

ZAWIESZENIE BRONI NA WSCHODZIE.

31 maja podpisane zostało zawieszenie broni między Japonją a Chinami. Przewiduje ono wycofanie wojsk na wschód od Wielkiego Muru, rozwiązanie partyzanckich oddziałów chińskich i przywrócenie ruchu kolejowego na tych terenach. Wyjaśnić należy, że zawieszenie broni nastąpiło w ostatnim momencie, gdyż po 31 maja Chiny upoważnione były przez decyzję Ligi Narodów do wypowiedzenia wojny Japonji, którą mogły już uważać za napastnika.

KONFERENCJA PAŃSTW BLOKU ROLNEGO.

Od 4 od 6 czerwca obradować będzie w Bukareszcie konferencja bloku rolnego państw Europy Środkowej, która ma na celu przygotowanie wspólnego stanowiska na międzynarodową konferencję gospodarczą w Londynie. Do Bukaresztu wyjechała specjalna delegacja polska na te obrady z ministrem skarbu Zawadzkim na czele.

KONGRES PEN-KLUBÓW.

Międzynarodowy kongres literacki, t. zw. Kongres PEN-klubów, który zbiera się dorocznie na swe obrady w coraz to innym kraju, w tym roku zjechał się w znanej miejscowości Jugosławji—Dubrowniku. Tegoroczne obrady były burzliwe, a skończyły się opuszczeniem manifestacyjnem zjazdu przez delegację niemiecką, która nie chciała dopuścić do dyskutowania ostatnich zajść w Niemczech, solidaryzując się widocznie z barbarzyńskiemi metodami niszczenia dorobku kultury i wolności słowa, jakie wprowadzili na terenie Rzeszy hitlerowcy. Przewodniczący obradom, znany pisarz angielski, Wells, chciał nawet osiągnąć pewien kompromis, jednak nie mógł się zgodzić na protest niemieckiej oficjalnej delegacji, która nie chciała dopuścić do głosu wygnanych z Niemiec znanych pisarzy niemieckich. Wraz z niemcami opuścili również salę holendrzy, szwajcarzy i austryjacy, kongres jednak nie został rozbity, gdyż pozostało jeszcze przeszło 20 delegacyj pozostałych państw, potępiających całkowicie stanowisko delegacji niemieckiej.

KONGRES F. I. J.

W tym samym mniejwięcej czasie zebrał się również międzynarodowy zjazd dziennikarzy i publicytsów, który w tym roku ma miejsce w Budapeszcie. Zjazd ten podobnie, jak kongres PEN-klubów, zajmował się sprawami niemieckiemi i zakończył się właściwie rezolucją usunięcia niemców z międzynarodowej organizacji. Powód do tego podali sami niemcy, którzy zażądali od zjazdu przeciwdziałania dziennikarskiej propagandzie antyniemieckiej świata (!), a gdy im tego naturalnie odmówiono, wówczas związek prasy niemieckiej nie wysłał swych delegatów na kongres. Podczas owych trzydniowych obrad kongres doszedł do wniosku, że niemiecki związek dziennikarski stał się dziś organizacją partyjno-polityczną, z którą F. I. J., proklamujący wolność i niezależność prasy nie może mieć nic wspólnego.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES TAŃCA.

Od 8 do 16 czerwca trwać będzie w Warszawie międzynarodowy konkurs tańca artystycznego, zorganizowany przez stow. „Muzyka". W konkursie tym zgłoszony jest udział przedstawicieli wielu państw, m. in. Francji, Węgier, Austrji, Niemiec, Finlandji, Estonji, Czechosłowacji, Włoch i wreszcie Szwajcarji. Nie będzie to konkurs zespołów, a jedynie pokaz tańców solowych, a jak wielkie wzbudza on zainteresowanie świadczy fakt, że na konkurs ten przybywa również wielka ilość impresarjów z całego świata, którzy mają widocznie zamiar rozejrzeć się w możliwościach zaangażowania wybranych przez siebie uczestników.

MIĘDZYNARODOWE KONKURSY HIPPICZNE

W dniu 2 czerwca rozpoczęły się w Warszawie Międzynarodowe Konkursy Hippiczne, które jak co roku odbywać się będą w Łazienkach.

ODSŁONIĘCIE POMNIKA BAJOŃCZYKÓW WE FRANCJI.

Dnia 21 maja odsłonięty został w północnej Francji, La Targette, pomnik ku uczczeniu pamięci ochotników polskich, którzy padli na froncie francuskim w pierwszym roku wielkiej wojny. Okryli się oni sławą pod nazwą bajończyków własnie, która do nich przylgnęła, gdyż ich przeszkolenie wojskowe, prowadzone pośpiesznie, odbywało się w Bayonne. Po ciężkich walkach, jakie stoczyli pod Arras 9 maja, zdobyli śmiałym atakiem okopy niemieckie, lecz niewielu ich zdołało przeżyć ten dzień. To też nazajutrz komendant korpusu kazał wystąpić garstce pozostałych i oddał im hołd przed frontem zebranego wojska, które następnie całe przedefilowało przed polskiemi ochotnikami.

GMACH CIWF W KIELCACH.

W Kielcach zbudowany zostanie wielki gmach CIWF, otoczony boiskami sportowemi, kortami tennisowemi. W gmachu tym znajdzie pomieszczenie około 30 organizacyj związanych z CIWF-em, mieścić on będzie dwie sale gimnastyczne, świetlice, kasyno, sale klubowe, pływalnię, teatr, kino i t. d. W dniu 12 czerwca odbędzie się uroczyste poświęcenie fundamentów pod budowę nowego gmachu.

ŚWIĘTO KADETÓW.

Dnia 28 maja odbyły się we Lwowie uroczystości, związane z piętnastoleciem istnienia korpusu kadetów im. Marszałka Piłsudskiego. Uroczystości, w których brali udział liczni przedstawiciele miejscowych władz i rozlicznych delegacyj, rozpoczęły się mszą św. polową, poczem nastąpiła defilada. Po wspólnym obiedzie spożytym w korpusie kadetów, odbyły się zawody sportowe.

M. K.



W Państwowem Seminarjum Nauczycielek Gospodarstwa (Nowowiejska 43) była urządzona wystawa-pokaz prac oraz sprawności uczenic. W dziale teoretycznym zwracały uwagę wzorowe wykresy, dział praktyczny reprezentował bufet bogato zaopatrzony w smakołyki, przygotowane rękami uczenic.

UBRANIE

Jedynie w klimacie gorącym można temu zagadnieniu poświęcić mało uwagi. Posuwając się ku strefom umiarkowanym lub zimnym coraz dotkliwiej odczuwamy wpływy temperatury i coraz więcej wkładamy na siebie ubrań. Zasadniczą rolą ubioru jest więc ochrona organizmu przed wpływami atmosferycznemi, następnie zaś ochrona przed urazami zewnętrznemi (np. buty chronią nogi przed skaleczeniem).

Odzienie nasze powinno zatem spełniać funkcję „drugiej skóry", a więc regulować wymianę ciepła między ustrojem a otoczeniem, być wygodne, lekkie, w miarę przewiewne i hygroskopijne, nie powinno przeszkadzać ruchom i nie zniekształcać naszego ciała.

Odzienie, które nosimy, zrobione jest z różnych surowców, wśród których przeważają: wełna, bawełna, jedwab i skóra. Surowce te mogą być w różny sposób przygotowywane do naszego użytku i od tego także zależy ich przewiewność „ciepłość" i t. p.

Nas najbardziej interesuje „odwrotna strona medalu", a mianowicie szkodliwe wpływy, jakie może wywierać ubranie. Na szczęście dzisiaj cywilizowana ludzkość, a właściwie cywilizowane kobiety, ubierają się zgodnie z zasadniczemi wymogami higjeny, w wielu jednak przypadkach „krzyk mody" stoi w sprzeczności z interesami zdrowotnemi ludzi.

Omówimy kilka błędów w ubiorze. Szkodliwy wpływ ubrania może wystąpić wówczas, gdy nie ubieramy się stosownie do temperatury i pory roku. Jako przykład może posłużyć noszenie cienkich pończoch w czasie zimy, wówczas, gdy temperatura jest niska. Nawet zahartowana skóra przy tak cienkiej osłonie ulega odziębieniom, co dzisiaj jest częstem cierpieniem, spotykanem przeważnie u młodych osób. Takie noszenie zbyt cienkich i przewiewnych „dessous" może być przyczyną poważnych nieraz zaburzeń chorobliwych. Zimno bowiem działa na ustrój ludzki, szczególnie wątły i osłabiony, bardzo niekorzystnie, gdyż uspasabia go do zachorowania. Na tem polega t. zw. „przeziębienie".

Noszenie zbyt grubych ubrań w lecie i towarzyszące temu przegrzanie, nie grozi na szczęście rodzajowi żeńskiemu, który tę sprawę unormował należycie.

Duże szkody może wyrządzić ubranie, nieprzystosowane do wykonywanej przez daną osobę pracy. Oglądamy niejednokrotnie śmieszące nas fotografie z przed 20 — 30 lat, gdzie widzimy ubiory kobiet, uprawiających sporty. Zdumiewamy się, jak dama ubrana w stosy materji, mogła przepłynąć parę metrów, lub jak wyglądała kobieta, jeżdżąca konno. Ubrania ich bowiem ograniczały swobodę ruchów, niezbędną do wykonania tych właśnie zajęć. — Czy my jednak jesteśmy zupełnie bez zarzutu? Czy ubieramy się rozsądnie? Niezawsze. Podczas lata widać było mnóstwo młodych dziewcząt, śpieszących na plażę, lub na wycieczkę zamiejską, z kostjumem kąpielowym pod pachą, w powłóczystych, zwiewnych szatach i pantofelkach na wysokich obcasach. Wątpię, czy było im wygodnie, czy nie miały dużo trudności w odbyciu małej choćby podróży.

Minęły wprawdzie czasy barbarzyńskich sznurówek, któremi krępowano małe dziewczynki, lecz pozostało jeszcze dużo błędów do usunięcia i dzisiaj. Np. taki drobiazg, jak dobre podwiązki. Do niedawna noszono jeszcze gumy w formie obrączki, nakładane powyżej kolana. Był to najlepszy sposób na wywołanie żylaków. Dzisiaj już tego nie nosimy. Używa się pasków z przyczepionemi gumami. Paski te przeważnie nie są wygodne, często ściskają, uwierają i t. p. Ucisk, wywierany przez nieodpowiednio dobrany pasek, przenosi się przedewszystkiem na narządy jamy brzusznej, powoduje zaburzenia w trawieniu, oraz cały szereg innych niekorzystnych dla ustroju zmian. Pasek taki należy wykonywać z materji dobrej do prania, przyczem dobrze jest, poza odpowiedniemi rozmiarami, wszyć „wstawki" z gumy. Dzięki takiej kombinacji pasek będzie elastyczny i nie będzie sprawiał przykrości osobie noszącej.

Następną bolączką naszego ubioru jest obuwie. Zamiast spełniać funkcje ochronne, jest często przyczyną niedomagań, tak dawnych, jak dawną jest cywilizacja. Już starożytni lekarze greccy i rzymscy wspominają o cierpieniach, spowodowanych nieodpowiedniem obuwiem. Dzisiaj, coraz częściej słyszy się głosy, że źle dobierane obuwie, jest klęską pracującej ludności i że znacznie ogranicza jej zdolności do pracy. Nieodpowiednie obuwie wpływa przedewszystkiem na stopę, powodując jej zniekształcenie. U dorosłych europejczyków prawie nie spotyka się stóp normalnych.

Poza zniekształceniem, częste są otarcia skóry stóp, wikłające się często sprawami ropnemi, powstałemi wskutek zanieczyszczenia skaleczeń. Nagniotki są wszystkim dobrze znane: wywołują one często bóle, lecz nie należy ich operować na własną rękę, szczególnie brudnemi narzędziami. W związku z zastojem krwi następuje obniżenie ciepłoty nóg, co odczuwamy jako nieprzyjemne uczucie zimna. Ciasne obuwie gdy jest przemoczone, łatwo oziębia stopę (gdyż wilgotna skóra jest dobrym przewodnikiem ciepła), co sprzyja powstawaniu odzięblin.

Nieodpowiednie obuwie dotkliwie daje się we znaki przedewszystkiem ludziom o płaskiej stopie. Stopa taka cechuje się tem, że sklepienie jej jest znacznie spłaszczone. Przyśrodkowy brzeg stopy jest opuszczony tak, że przylega do powierzchni, na której stopa się opiera. Stopa taka postawiona np. na piasku, odciśnie się prawie całą swoją powierzchnią. Wada ta powoduje znaczne zmęczenie przy dłuższem staniu lub chodzeniu, co odbija się na ogólnym stanie nerwowym danego osobnika. Odpowiednio dobrane obuwie może te dolegliwości znacznie zmniejszyć.

W każdym przypadku obuwie należałoby dobierać indywidualnie. Praktycznie wygląda to tak, że buty powinny być robione według wymiarów stopy danej osoby. Ponieważ stopy ludzkie nigdy nie są takie same, przeto obuwie, robione według pewnych szematów i sprzedawane w sklepach, nie jest dobrze dopasowane. Gdy jestem w sklepie z obuwiem i proszę o buciki Nr. 36 czy 37 — to ręczę, że podanie numeru nie zapewni mi wygodnych bucików. Wiemy ze smutnego doświadczenia, że nowe obuwie jest zawsze niewygodne i jak dużo traci się zdrowia, żeby je „rozchodzić".

Ciasne kapelusze i berety powodują migreny. Ciasne rękawiczki torturują ręce, a ubranie pijące w pachach powoduje przepocenie materjału i grozi obtarciem skóry i bolesnemi wrzodami.

Kwestja wygodnego, odpowiedniego ubioru, to niezmiernie ważne zagadnienie w życiu codziennym. A więc radzę zrobić przegląd garderoby. — Pomyśleć, co jest niewygodne — usunąć błędy czy braki. — Zazwyczaj dają się one jakoś naprawić. Skończyć z tyranją niewygodnego ubrania!

H. Nowosielska.

GRZĄDKA JAPOŃSKA

Sama nazwa wskazuje nam, że jest to coś egzotycznego, miłego i pełnego niespodzianek.

I rzeczywiście z takiej grządki japońskiej mamy przez całe lato ogromną przyjemność, każdego ranka spodziewamy się jakiejś nowej roślinki, a wszystkie nęcą zapachem.

Japońska grządka zwana jest również kwietnikiem maurytańskim i jest mieszanką jednorocznych kwiatów letnich, dobranych w ten sposób, że roślinki mają prawie jednakową wysokość, intensywność barw i przemiłą właściwość kwitnienia przez całe lato i jesień.

Nawet nie spostrzegamy, kiedy jakiś kwiat przekwita i znika, gdyż równocześnie ukazuje się nowy, równie świetny w barwie i woni.

A czegóż tam niema wśród nich?

Warto zasiać taką grządkę z końcem maja lub początkiem czerwca ,by się przekonać jak wierną i miłą towarzyszką będzie nam przez całe lato.

Po tych miłosnych oświadczynach trzeba zająć się stroną praktyczną.

Grządka praktyczna jest dwojakiego rodzaju, jedna zwana przez hodowców nasion mieszanką japońską daje nam kwiaty miłe dla oka i pachnące. Nasiona sprzedają pod tą nazwą.

Drugi rodzaj zwie się mieszanką pszczelną i jest równie piękną i pachnącą, lecz wszystkie te rośliny mają pełno miodu w kieliszkach, który wabi pszczoły i trzmiele. Nad taką grządką unoszą się nieraz piękne, brzęczące okazy, pracujące pilnie i wytrwale, jeśli więc wśród miłych czytelniczek Świata Dziewcząt znajdą się zamiłowane przyrodniczki, to mogą mieć pole doświadczalne z życia owadów.

Grządkę japońską możemy siać w ogrodzie, w skrzynce balkonowej, a nawet w dużym wazonie, musimy jednak odmierzyć starannie obszar ziemi i dobrać ilość nasienia.

Na 1 metr kwadratowy wysiewamy 15 — 20 gramów nasienia, jeżeli więc mamy skrzynkę okienną to będzie ona mieć mniej więcej tę część obszaru. Użyjemy więc tylko 1/5 część nasienia czyli 3 — 4 gr. Dziesięć gramów takiego nasienia kosztuje 50 — 60 gr., zaś mieszanka pszczelna jest jeszcze tańsza, a wysiewamy ją w takiej samej proporcji.

W grządkach japońskich mamy śliczne drobne goździki, lobelje, maciejki, bratki pachnące, płomienne drobne maczki, rumianki, rezedę i wiele innych starannie dobranych roślin.

Mieszanka pszczelna zestawiona jest z miododajnych roślin według doboru zawodowych ogrodników i pszczelarzy. Znajdziemy w niej smagliczkę, trojeść syryjską, hyzop, mathiolę dwurogą, melisę officinalis, rezedę i wonne trawki. Ziemia dla grządki japońskiej powinna być ogrodową z inspektową, starannie spulchniona.

Nasienie mieszamy z drobnoziarnistym piaskiem i na suchą ziemię rozsiewamy równo.

Po upływie paru godzin zraszamy ziemię wodą przestałą, używając do tego celu rozpylacza, by nie wtłoczyć drobnego nasienia w głębi ziemi.

Podlewanie delikatne utrwala ziarenko, a w okresie kiełkowania jest ono przecież tak delikatne, jak niemowlę. W czasie kwitnienia roślin trzeba przekwitłe kwiaty obcinać nożyczkami, lecz tylko same główki, by nie wzruszyć cienkich korzeni i nie uszkodzić dalszych pączków.

Grządkę japońską trzeba otoczyć serdeczną opieką, cieszyć się każdym kwiatkiem choćby był drobny i nikły, a wzamian będziemy mieć miłą towarzyszkę przez całe lato.

Marja Stefkowa.



Fot. M. Stefkowa.

A TERAZ POROZMAWIAMY

Do wszystkich naszych korespondentek! (Przepraszam! Dziś mam interes do wszystkich!).

Po raz nie wiem który!

B. b. b. Was proszę, nie piszcie po dwuch stronach tej samej kartki: 1) listu do redakcji, na który ma być odpowiedź w dziale „A teraz porozmawiamy". 2) apelu do „bratnich dusz". 3) wiadomości, że Nr. nie doszedł, albo, że się zmienia adres. 4) utworu, przeznaczonego na Waszą stronicę. 4) rozwiązania rozrywek umysłowych!

Sprawy tego rodzaju, jak zmiana adresu albo wiadomość, że się nie otrzymało numeru, albo że się opłaciło lub w najbliższym czasie opłaci prenumeratę, należą do administracji. Wszystkie one mogą być na jednej kartce, która może być włożona w kopertę adresowaną do Redakcji. Bratnie dusze muszą być osobno na kartce (nic nie pisać po drugiej stronie!). Wasza stronica — na osobnej! List do Redakcji osobno! Apel do Bratnich dusz osobno! Rozrywki — osobno (ale wszystko może być w jednej kopercie). Bo: każdą z tych spraw załatwia inna osoba! Jak tu pokrajać na kawałki list z furą różnych interesów? Ale, jeszcze to, co najważniejsze! Na każdej z kartek musi być podpis (ewentualnie i pseudonim) oraz adres. Na każdej! Bo potem nam się wszystko poplacze w kartotekach i będziecie długo czekać na odpowiedź. Do „Bratnich dusz" trzeba koniecznie dopisać pseudonim i adres, bo: potem przesyłają list dla: „Sarenki", czy „Promyczka", czy też jeszcze jakiejś dziwnej osoby, a dokąd, pytam, go przesłać? List leży, czeka. I może nie dojść!

Znaczki trzeba załączyć koniecznie do listów, przesyłanych przez Redakcję do „Bratnich Dusz".

A teraz inna sprawa, bardzo ważna. Rozjeżdżacie się na wakacje. Nie zapominajcie o opłacie prenumeraty za miesiąc, lub kwartał, lub rok, lub pół-rok. Może tam, gdzie wyjeżdżacie nie będzie „Świata" do kupienia? (oczywiście w tym wypadku trzeba zrobić mały „gwałt" i zażądać, aby dana księgarnia czy „koszyk" czemprędzej go sprowadziły!).

Boję się bardzo, że zapomnicie o zmianie adresów, przypuszczając, że „Świat" sam się domyśli pod jakiem niebem, drzewem, czy słońcem przebywacie. Niestety! „Świat Dziewcząt" nie może tego wiedzieć!

Dalej: ponawiamy prośbę z poprzedniego numeru o przysyłanie pocztówek lub listów z wypisanemi adresami znajomych osób, któreby mogły i chciały stać się naszemi prenumeratorkami. 3 osób, które wykażą największą ilość przysporzonych prenumeratorek ogłosimy w piśmie i ofiarujemy im piękne nagrody książkowe.

Dalej: przysyłajcie „kawały" (nietylko szkolne) do rubryki „Można się uśmiać"; dobre chętnie wydrukujemy. (Przesyłajcie je również na osobnej kartce)

I jeszcze jedno redakcyjne życzenie: przysyłajcie jaknajwięcej dobrych wyraźnych fotografij z wakacyj (i nie), na czarnym błyszczącym papierze, podpisane na odwrocie imieniem i nazwiskiem oraz z zaznaczeniem, gdzie są robione, co wyobrażają (przy zabytkach) i czy chcecie, aby były *podpisane* w piśmie.

Nie fotografujcie dla nas nudnych grup, ale momenty charakterystyczne, obrazki rodzajowe, krajobrazy, sceny z życia rodzinnego, bez sztucznej pozy. W związku z tem po ukończeniu konkursu literackiego w obrazkach, ogłosimy konkurs fotograficzny z cennemi nagrodami.

Rozpowszechniajcie „Świat Dziewcząt" w nowopoznawanych miejscowościach!

Uff! Na dziś koniec z interesami.

„Prywatnych" odpowiedzi damy zato dużo w następnym numerze.

REDAKCJA.

KURS WYPOCZYNKOWO-GOSPODARCZY

Kobieta współczesna nie może się wyzbyć obowiązków pani domu, a do tego, jak do każdego zawodu, należy przystępować nietylko z przemyśleniem, lecz i z pewnem przygotowaniem.

Każda inteligentna panna rozumie potrzeby życia—widzi swoje braki, lecz nie zawsze ma czas i możność zdobycia pewnego przygotowania, lub uzupełnienia, czy skorygawania nabytych dorywczo wiadomości.

Pierwszorzędnem zagadnieinem pani domu jest — odżywianie. Są to rzeczy łatwe, lecz bez przygotowania robi się błędy, a niejednokrotnie szkodliwe próby. Aby uniknąć w gospodarstwie marnowania produktów, a co gorzej zdrowia, zwolenniczki zacisza domowego organizują miesięczny Kurs Gospodarstwa domowego, na wsi, blisko Warszawy. W zdrowotnych warunkach (willa w lesie), przy bardzo małym wysiłku (średnio 3 godz. zajęć dziennie), pozatem urozmaicając czas grą w tenisa, wycieczkami, pogadankami, robótkami i t. p. można pogodzić *wypoczynek z pożytecznem doświadczeniem.* W programie prócz gotowania i pieczenia są przetwory, pranie i porządki domowe.

Informacji udziela codziennie od godziny 2—3 Kierowniczka Kursu—Polna 76 m. 14 — tel. 8.84-09 lub Instruktorka po godzinie 8-ej wiecz. tel. 9.72-80.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

W numerze 14 „Świata Dziewcząt" zamieściliśmy rozwiązanie zadań z Nr. 7. Obecnie podajemy listę osób, które nadesłały trafne rozwiązanie zadań z wymienionego numeru

Chełmno: Frankiewiczówna Marja; *Częstochowa:* Dobrzyńska Marja; *Długosiodło:* Mankinówna Marja; *Gdynia.* Lachmanowiczówna Andrea; *Golków:* Orzeszko Halina; *Kalisz:* Łossowska H.; *Korzec:* Dowbalska Ludmila; *Kraków* Birczyńska Zofja, Nowotarska Róża, Wacięłanka Anna, *Lublin:* Modrzejewska Jousia; *Lwów:* Łesiukówna Anna Muszanka Marja; *Łódź:* Skalska Jadwiga; *Nowy Sącz:* Barbacka Olga Żarnecka Zofja; *Pabjanice.* Bartoszkówna J.; *Pawłowice:* Klimzianka Małgorzata; *Pińczów:* Przegrałkówna Janina. *Poznań:* „Mirka". *Radom:* Zasadzianka Franciszka; *Roznoszyńce:* Motecka Krystyna; *Ruda Pabjanicka:* Olszański H.; *Szarlej:* Tyranówna Irena; *Tarnów.* Muniakówna Kazimiera, Podsońska Renata; *Zabłocie:* Dąmbska Hanka; *Zakopane:* Jeziorski H.; *Zduny:* Mikówna Aniela, Minichówna Irena.

Nagrodę wylosowała *p. Irena Minichówna* — Zduny koło Łowicza.

[illegible] z Poznania nadesłała następujący [illegible]

Słuchaj-no Zosiu, moje Ty serduszko
Powiem Ci sekret, lecz tylko na uszko:
Wczoraj, gdy przyszłam (dość późno) do domu
(Lecz proszę o tem nie mówić nikomu),
Gdy zobaczyłam ten cudny „Świat Dziewcząt"
Wiedz, że wszystko inne poszło wnet w kąt.
Ach! Zaraz też wzięłam się do czytania,
Bo przecież tego nikt mi nie zabrania,
Tak przeglądając ostatnią stronicę
W „Kto to rozwiąże?" — tej miłej rubryce
Zauważyłam konkurs na szaradę
I — pomyśl tylko — dałam sobie radę!
Co, rozwiązałaś ją? — Zosia się pyta.
Naturalnie — poślę ją nawet i kwita!!
I może mi się nagroda dostanie,
Którą otrzymam przez losowanie...

Niestety, nagroda przez losowanie „Mirusowi" nie przypadła, ale za ładny wierszyk i nie mniej ładne „malowanki" (szkoda, że wykonane ołówkiem — nie mogą wskutek tego być umieszczone) kierownik działu Rozrywek postanowił przyznać *„Mirusowi"* dodatkową nagrodę w postaci książki.

SZARADA.

Przebrzmiały *czwarte* dawno echa zimowe.
Pierwsze światowe ucichły odgłosy balowe
Nie *dziewięć* długo jednak nas opanował
Ten wielkopostny nastrój, który się zachował
W Polsce swojej wierze zawsze wiernej;
Bowiem *prze-dwa-trzy* czas duchowej drogi ciernej,
A *jeden-dwa-trzy* chwila, gdy *osiem-dziewięć* młodzieży
Będziesz mogła się bawić na zabaw rubieży.
Wielki Post minął, a za nim nowy kroczy
Pięć-sześć-siedem, wiosenny—któż go przeoczy—
Osiem-dziewięć-dziesięć. Ale chociaż *cale,*
Należy, mając pracy *dziewięć-dziesięć,* dać mu chwile małe.
A nie poświęcać życia całego
Z uszczerbkiem dla dorobku naukowego.

Halina Orzeszko (Golków).

Za trafne rozwiązanie powyższej szarady Redakcja przeznacza w drodze losowania wartościową nagrodę książkową. Termin nadsyłania rozwiązań z niniejszego numeru upływa dnia *22 czerwca 1933 r.*

Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem Redakcji, z dopiskiem *„Rozrywki Umysłowe".*

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 10.—; półrocznie — zł. 5.—; kwartalnie — zł. 2.60; miesięcznie — zł. 1.—.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy Szerokość 1 łamu 54 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

Redaktorki: Hanna Januszewska-Moszyńska i Wanda Borudzka. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ".

Redakcja i Administracja: Solec 87, tel. 244-18 i 787-03. Konto P. K. O. Nr. 18.800
Redaktorki przyjmują w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.